

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie Rs. 7 kop. —
Półrocznie „ 3 „ 50
Kwartalnie „ 1 „ 75
Miesięcznie „ — „ 60

Za odnośnienie do domu
dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-
meru bez dodatku k. 20.

GŁOS

Prenumerata na Prowincyi
i w Cesarstwie:

Rocznie Rs. 9 kop. —
Półrocznie „ 4 „ 50
Kwartalnie „ 2 „ 25

Za Granicą:

Rocznie 12 guld.—18 m
Półrocznie „ 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
tor Redakcyi po kop. 10 za
wiersz petitowy lub za je-
go miejsce. Reklamy p
kop. 25.

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
BRACKA Nr. 25.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
zeszyt dzieł Spencera.

TREŚĆ: I. Warunki historyczne, przez J. L. Popławskiego.— II. Emigracja z gub. płockiej przez Antoniego Hempla. — III. Stowarzyszenia współdzielcze, przez M. Sierakow-
skiego.—IV. Psychogeneza, przez F. Jabłczyńskiego.— V. Głosy. — VI. Z obcego świata, przez J. H. Siemienieckiego.—VII. Listy z nad Niewiaży, przez J. W.—VIII. Korespon-
dencje: z Suwałk, przez St.—Z Raciąża, przez W. — IX. Przegląd społeczny. — X. Przegląd polityczny. — XI. Kronika literacka. — XII. Kronika powszechna.—XIII. Odpo-
wiedzi od redakcyi.—XIV. Ogłoszenia.—XV. Odcinek: Wyszadzone z siodła, przez A. Sygietyńskiego. (Ciąg dalszy).

Warunki historyczne.

Ileć obrońcom żydów zabraknie w ustnej czy piśmiennej rozprawie właściwych argumentów, zawsze wtedy na plan pierwszy wysuwają zdanie, iż żydzi nie mogą odpowiadać za to, czem są, dzisiejsze ich bowiem położenie jest rezultatem „warunków historycznych“. Prawda, powiadają ci panowie, że żydzi zachowują uporczywie odrębność wyznaniową i plemienną, z wszystkimi ujemnymi jej właściwościami, że nieraz z fanatyczną solidarnością działają na szkodę inowierców, że obchodzą prawo i unikają wypełniania obowiązków społecznych, że niechętnie biorą się do pracy fizycznej, a natomiast zajmują się przeważnie lichwą, kramarstwem, handlem pieniędzmi i ludźmi i t. d. Ale to nie ich wina, że stali się takimi, jakimi są obecnie—to warunki historyczne, wśród których żyli, zmusiły ich do tego. „Sami jesteście winni“, dodają gorętsi, macie takich żydów, jakich hodowaliście przez setki lub tysiące lat.

Każdy, bodaj pobieżnie wykształcony publicysta rozumie dziś, że wszelki, najbardziej nawet z pozorów przypadkowy objaw społeczny, jest rezultatem długiego szeregu warunków historycznych. Rzecz szczególna, że powyżej przytoczony argument obrońcy wygłaszają ci właśnie, którzy odrzucają zupełnie przypadkowość w historii i w innych sprawach społecznych występują nieraz w roli bezwzględnych reformatorów. Jedynie tylko wsteczniczy wszelkiego rodzaju i stopnia w obronie przeżytych lub istniejących form życia społecznego powoływać się mogą na „warunki historyczne“, ale przecie w danym wypadku nie ze wstecznikami mamy do czynienia.

Argument wyżej przytoczony miałby jaką taką racyję tylko wobec przeciwnika, któryby dowodził, że żydzi od początków swego istnienia napiętnowani byli znamieniem grzechu i potępienia. Zapewne są tacy, którzy to utrzymują. Ale nikt z ludzi jako tako wykształconych w tej formie zarzutu nie stawia. Nikt nie oskarża żydów o to, że plemiona, z których powstał Izrael, prowadziły z początku żywot koczujący, następnie zaś, znalazłszy

się na wielkiej drodze handlowej Wschodu, zajęły się wyłącznie prawem handlem, że etniczne i topograficzne warunki przyczyniły się do wyrobienia w nich fanatyzmu sekciarskiego, że wypadki historyczne rozproszyły ich po szerokim świecie. Uczony lub publicysta konstatuje tylko te dane dla wyjaśnienia tego charakteru żydów, w jakim zjawili się pośród społeczeństw europejskich oraz dla wytłomaczenia konieczności nowego szeregu „warunków historycznych“, które na obecne ukształtowanie typu i położenia społecznego żydów wpłynęły. I znowu nikt ich za to nie wini, że zagrzęźli w formułkach talmudyzmu, że wyodrębnili się zupełnie, że zajęli się wyłącznie handlem ludźmi, lichwą, kramarstwem. Ale też nie można winić ludów Europy, ludów wojowniczych i rolnych, że żydów takich, jakimi już byli w chwili osiedlenia się, nie mogły wcielić do swych społeczności i, że po całym szeregu prób chybotych, przyczyniły się ze swej strony do zupełnego ich wyodrębnienia. Metafizyczne pojęcie winy niema nic wspólnego z realnem pojęciem odpowiedzialności społecznej. Argument o „warunkach historycznych“ wykazuje tylko bezskuteczność wzajemnych inkryminacyj—i nic więcej. Odpowiedzialność względem ten bynajmniej nie usuwa. Każde zwyczajne przestępstwo, nawet czyn w uniesieniu spełniony, jest również rezultatem całego szeregu przyczyn, całego szeregu usposobień odziedziczonych i nabytych, wpływów otoczenia, które w stosunku do osoby przestępcy nazwać można „warunkami historycznymi“. Gdyby jednak adwokat broniący, dajmy na to, mordercy, dowodził, że klient jego winien być od odpowiedzialności uwolniony, ponieważ urodził się z ojca pijaka i matki histeryczki a wychował się w sferze, (np. wśród kontrabandzystów), w której na zabójstwo patrzą pobłażliwie—to każdy człowiek, nawet najbardziej humanitarnie usposobiony, odpowiedział by mu w ten sposób: Prawda, twój klient nie winien temu, że miał ojca pijaka i matkę histeryczkę, ani temu, że wychowywał się wśród kontrabandzystów. Zgadza się, że zbieg usposobień odziedziczonych i wpływów otoczenia fatalnie popchnął go do spełnienia zabójstwa. Ale pomimo to, a raczej dla tego właśnie

nie można go pozostawić w społeczeństwie, którego porządek naruszył, dla którego spokoju jest niebezpiecznym. Uczucia humanitarne nie pozwalają pastwić się nad nim, ani stosować doń bezużytecznych w danym wypadku—ze względu na „warunki historyczne“—represyj, ale nakazują nam, w imię wymagań bezpieczeństwa publicznego, usunąć go ze społeczeństwa, lub przynajmniej zastosować doń takie środki, które zrobiły by go nieszkodliwym. W każdym razie byłoby występkiem wobec ogółu pozostawić mu zupełną swobodę działania.

Przykładu tego nie należy stosować bezwzględnie, bo już ci żydzi, nawet w oczach najzgorzalszych antysemitów, nie są społecznością, wyłącznie z przestępców złożoną. Na przykładzie tym chcieliśmy tylko wykazać, że jeżeli „warunki historyczne“ rozgrzeszają żydów z win, to nie zdejmują z nich odpowiedzialności społecznej. Jeżeli zgodzimy się na to, że obecnie żydzi, jako całość zbiorowa, są w społeczeństwie naszym żywiołem szkodliwym—a na to, oprócz samych żydów, i to nie wszystkich, ludzie różnych poglądów się zgadzają—to logicznie dojdź musimy do wniosku, że należy za pomocą całego szeregu środków ochronnych zabezpieczyć społeczeństwo od ich szkodliwej działalności i nie mniej szkodliwych wpływów. Środki zabezpieczające mogą być dwojakie: jedne, prowadzące do zupełnego izolowania żywiołu, uznanego za szkodliwy, drugie—mające na celu poprawę jego. Ale czy o izolowanie czy poprawę mamy na widoku, w danym razie nie może być mowy o pozostawieniu żydom zupełnej swobody działania. Powiadają, że okazanie zaufania i nadanie swobody wywierają właśnie wpływ uszlachetniający, lecz czyż wolno robić takie próby pedagogiczne na społeczeństwie wobec tego, że gdzieindziej, np. we Francyi, Austrii a poniekąd w Niemczech użyto już tego środka i... otrzymano w rezultacie antysemityzm.

Niektórzy, uznając szkodliwość działalności żydów, twierdzą, że spełniają oni jednak funkcje, niezbędne w społeczeństwie dzisiejszem. Uwierzyć trudno, jakich argumentów używają nieraz obrońcy żydów w tym wypadku. Oto np. wyjątek z listu żyda, d-ra L. S. czło-

wieka, jak sam o sobie powiada, przekonaniu radykalnych; „Wynagacie żydów, no, a na ich miejsce do szynków, lombardów, domów rozpusty kogo wsadzicie“. Nie w tak naiwno-cynicznej i nie w tak wyraźnej formie, ale ten sam argument często bywa powtarzany. Chyba dla ludzi, pragnących niezmienności form społecznych—jeżeli są tacy—mógłby on być w pewnej mierze przekonywającym. Od siebie zaś dodamy, że ten ideał społeczny, ku któremu dążymy, wyłącza zupełnie istnienie szynków, lombardów i domów rozpusty, a więc tymbardziej głosować możemy za zupełnym usunięciem żydów.

Niemniej naiwnym, chociaż nie tak cynicznym, jest drugi, często powtarzany argument: sami chcieliście mieć takich żydów, jakich macie, sami zrobiliście ich tem, czem są. Śmiesznie wygląda ta inkryminacja przeszłości w ustach ludzi, nadających warunkom historycznym moc powszechnego rozgrzeszania. Postępowanie przodków naszych względem żydów było również następstwem warunków historycznych. A zresztą, gdyby nawet mogła być mowa o winach przeszłości, to chłop lub mieszczanin polski ma prawo odpowiedzieć: „Cóżem ja winien temu, że kiedyś tam książęta i królowie dla swoich samolubnych celów sprowadzili żydów do kraju, że szlachta jedną ręką nadawała im przywileje na krzywdę moją, a drugą ograniczała ich prawa, że duchowieństwo prześladowało ich jako niewiernych, słowem, że rząd ówczesny i klasy panujące wytwarzały te „warunki historyczne“, których następstwem jest stan obecny żydów naszych. Mnie przecie o zdanie nie pytano, bo te same „warunki historyczne“ zrobiły mnie niewolnikiem bez głosu i bez prawa. Te przeklęte „warunki historyczne“ wykrzywiały i tamowały bieg mego rozwoju, opóźniały chwilę mego wyzwolenia a dzisiaj właśnie, kiedy zaczynam dochodzić do samowiedzy, rezultat ich całym swym ciężarem

spada na moje barki. Wy, żydzi, jesteście jednym z najcięższych brzemion, jakie dźwigać muszę, nie obchodzi mnie to, kto mi ten ciężar wtoczył na barki, czuję tylko, że zrzuć go winienem, bo już mi sił braknie”...

...Te warunki realne, które domagają się takiego lub innego ale zawsze zasadniczego rozwiązania kwestyi żydowskiej są również następstwem warunków historycznych przeszłości a zarazem początkiem całego nowego szeregu warunków historycznych dla przyszłości.

J. L. Popławski.

Emigracja z gubernii Płockiej.

To, co mówiłem, dotyczy wsi; a teraz powiem o służbie folwarcznej; ta bierze najmniej dwadzieścia parę rubli, 7—10 korcy ordynaryi, utrzymanie dla krowy i pół morga ziemi pod kartofle. Na pierwszy rzut oka wyglądałoby to uposażenie dużo lepiej; lecz tu pozory mylą, służbę folwarczną gnębi „system posyłek“, system ten—to coś wspólnego; gospodarstwo potrzebuje na każde zawołanie mieć kilkunastu robotników prócz służby. Otóż dawniej trzymano tych ludzi na dworskim stole, teraz wymyślono łatwiejszy sposób i nie nie kosztujący. Mianowicie, każdy służący dworski musi mieć chłopaka lub dziewczynę, którą co dzień będzie przysyłać do dworu na robotę. Dobrze jeszcze, jeżeli służący ma dzieci, które tak czy owak zawsze będzie żywić, a jeżeli nie ma? Musi wziąć do rodziny obcego człowieka, dawać mu jedzenie, pensję ze dwadzieścia parę rubli, a ten za to wszystko zarobi mu 25—40 rubli, t. j. że parobek za pożywienie, opranie, kłopot z obcym człowiekiem, który jest bardzo wymagający, ma parę lub najwyżej kilka rubli. W Rypińskim, o ile widziałem i słyszałem od ludzi kompetentych, ten system nie jest tak uciążliwy, gdyż tam dają na „zaciąg“ 3 korce ordynaryi i inne dodatki; jest tam także w użyciu system „trzydziestówek“—system pruski, jak w tamtejszej okolicy dosyć znośny.

Do tego dodać należy, iż posyłkom za dobrodziejstwo, że codzień muszą pracować we dworze, w większości folwarków płacą mniej,

niż innym, tak naprzykład, w okolicach Mławy, gdzie ordynaryi parobek z posyłką bierze 7—8 korcy, za danie utrzymania posyłać przez cały rok nie ma nic, prócz kłopotu, wiecznego swaru i kłótni. Wziąwszy prócz tego pod uwagę, że bardzo często parobkom i fernalom strącają pewną sumę za zgubione rzeczy, za niestawienie się do roboty, za nieposłuszeństwo, a także system świadectw, w których pisze się tylko o wierności i posłuszeństwie—będzie się miało przybliżone chociaż pojęcie: jak większość naszych ziemian, niektórzy bezwiednie, inni zupełnie świadomie, oplatali chłopca siecią, z której wywinąć się nie może, chyba na tamten świat.

Wielką nakoniec plagą wiejskiego proletariatu—plagą bardzo, szczególnie w ostatnich czasach, rozpowszechnioną, jest niewypłacalność pracodawców. Właściciel folwarku, wpadający w kłopoty finansowe, zaczyna swą praktykę od robotnika, gdyż żydowi pieniądze na czas musi oddać, hipoteczemu wierzycielowi na czas wypłacić „wypadać“, a chłop—może poczekać! Czeka więc lata całe na oddanie ordynaryi, swego zarobku nędznego, od czasu do czasu tylko niskim ukłonem i pokorną prośbą psując panu humor.

Znam małorolnego chłopca, z pod Drobina, którego pan, zbankrutowawszy, zarwał na 300 rubli. Chłop ten ma na taką sumę kwitów—wszystko kwity za robotę. Biorąc wygórowaną cenę dnia roboczego 15 kop., człowiek ten pracował 2,000 dni darmo, t. j. odliczywszy święta, 8 lat, karmiąc się najnędzniej w świecie i żyjąc tylko nadzieją odebrania tej sumy. W głowie mu się nie mogło pomieścić przez rok blisko, żeby pan mógł coś podobnego zrobić i wciąż powtarzał: „to nie może być, to nie może być.“ To już chyba za wielką lekkomyślność! A faktów podobnych znajdzie dosyć wszędzie.

Do ucha tak znękanego codzienną pracą chłopca naraz dolatują wieści najfantastyczniejsze o kraju, w którym wieczne szczęście panuje, gdzie każdy ma pola, a więc i chleba wiele chce, gdzie jest wiecznie ciepło. Nie będę powtarzał tu wersji bardzo zręcznie puszczanych przez agentów lub wytworzonych przez obudzoną twórczą fantazyję ludu. Wieści te z początku oszałamiają ludzi, lecz nie budzą ich z uspienia i przechodzą bez większego wrażenia; nie przechodzi jednak tygodnia a wieści, powtarzane i komentowane tysiące razy, zaczynają wywoływać zainteresowanie się.

27)

WYSADZONY Z SIODŁA.

Powieść.

PRZEZ

Antoniego Sygietyńskiego.

(Dalszy ciąg).

- 16 kopiejek.
- A to znowu jakim sposobem?
- Trzysta po 5 kop.—to 15 kop., a piętnaście—to 1 kopiejka, bo pięć punktów się liczy za dziesięć.
- Proszę o 4-ry kop. reszty! — powiedziała Zofija prawie cierpko, i, wyjąwszy 20 kop. z portmonetki, położyła ją przed ojcem na stole.
- Załogowski, po przetrząśnięciu wszystkich kieszeni spodni i kamizelki, znalazł z kop.
- To zamałol... Nie, chcę!... Proszę o całe 4 kop.!—wołała Zofija.
- Kiedy nie mam, jak cię Kocham!—tłomaczył się Załogowski, chowając czterdziestówkę do kieszonki od kamizelki.
- Ale bo z ojcem to zawsze tak!
- Zagrajmy o resztę!
- Dobrze, ale to już ostatni raz!... Za drogo mnie ten interes kosztuje!
- Czerwona czy czarna?
- Czarna!

Zofija przegrała. Widać jednak było, iż żałowała tych ośmiu nawet groszy, gdyż machnęła ręką z niezadowoleniem, i, nic nie rzekłszy do ojca, przeszła do swej maleńkiej sypialni.

- Czy wychodzisz?—spytał Załogowski.
- Przecież ojciec wie, że dziś gram—odpowiedziała szorstko z głębi drugiego pokoju, nie odwracając głowy.
- Chcesz, żebym cię odprowadził do teatru?
- Czy ojcu i to się już sprzykrzyło?
- Nie, widzisz, ale czasem sama chodzisz...
- Jeżeli ojciec ma coś ważniejszego, może jaką pilną robotę, to nie zatrzymuję!
- Ależ najchętniej cię odprowadzę...
- I pójdę na piwo na cały wieczór!—mruknęła Zofija pod nosem, z wyraźnym odcieniem wymówki.
- Cóż chcesz, żebym przez cały wieczór w domu robił?
- Prawda, ja sama bym tyle godzin bez zajęcia nie wytrzymała!
- Przecież się staram o cokolwiek, byle ci nie siedzieć na karku. Sam czuję to dobrze, że...
- Tylko, bardzo proszę, bez przycinków, kiedy ojcu nic nie wymawiam.
- Tak, ale ja czuję, że jem twój chleb za darmo.
- Przecież ojciec wie, że kogoś mieć muszę w domu. Wszystko mi jedno, czy utrzy-

mywać Kresuską, albo jakieś inne czupiradło czy ojca. Tylko niech ojciec pamięta przyjść na czas po mnie po teatrze, bo znowu będę musiała sama wracać do domu!

— Bo, widzisz, nigdy nie wiem, kiedy chcesz, żebym cię odprowadzał, a kiedy nie...

— A ja widzę, że ojciec nigdy nie nauczy się patrzeć. Toć przecie mówiłam tyle razy, że jak mi ktoś chce podać rękę, to trzeba wziąć odemnie paczkę nieznacznie, iść do domu, zapalić lampę w salonie i sypialnym pokoju i położyć się spać.

— Tak, ale czasem się gniewasz, żem odszedł.

— Ech! bo ojcu też czasem piwo tak w oczach zamroczy!...

— Jak Boga Kocham, nie piję!... Najwyżej kufelelek, a może dwa przez cały wieczór.

— No, no! wiemy coś o tem!... Niechże się ojciec dziś nie spóźni, kiedy ma za co, a ja już sama powiem pocichu, czy trzeba będzie odprowadzić mnie do domu, czy nie...

— Dobrze — odpowiedział Załogowski, nie ruszając się z fotela, na którym przed kilku miesiącami po raz pierwszy siedział.

Ach! jak od tego czasu życie się zmieniło dla niego! Nie powozi dorożką w deszcz mróz, czy skwar; nie wynajmuje się, jako posłaniec, do dźwigania ciężarów w czasie rucmacyj kwartalnych, nie lataz listami i paczkami z jednego końca miasta na drugi, nie sprowadza dziewczyn do hotelu rozmaitym

Samo przez się wkłada się wtedy do umysłu chłopu porównanie teraźniejszej nędzy ze szczęściem tam za morzem.

Ruch emigracyjny szedł od Mławy i powoli ogarnął całe Płockie. Początek tego ruchu datuje się od 2 lipca, kiedy pierwszy emigrant wyjechał z Mławy. Chcąc bliżej zbadać rozmiary tego ruchu i zobaczyć, jak oddziaływa: a umysły i na stosunki, postanowiłem zwiedzić ogarnięte ruchem pogranicze. Już po drodze ku Mławie spotyka się wielu emigrantów, jadą na wozach lub idą piechotą, pakunków z sobą nie mają żadnych — wyprzedali się zupełnie. Wszyscy prawie jadą całymi rodzinami — są to wyrobownicy i służący z okolicznych wiosek, pieniędzy z sobą prawie nie mają (kartofle sprzedali po 30 kop. korzec) na wygląd apatyczni, zmęczeni, z błyszczącymi dziwnie oczyma, robią wrażenie ludzi, którzy nie sami się ruszają, a których jakaś siła pcha naprzód, uniewinniają się z tego, że idą.

Na jednej furze 2 młode kobiety i 3 drobnych dzieci, ciepło odzianych chociaż raz w życiu, trzymających kawały białego chleba przy ustach i bezmyślnie rozglądających się, jadą przez Drobiny, znajomi żegnają ich, kobiety nie patrzą nawet, za miastem dopiero oglądającą się za siebie. Agenci wysyłają ich do Działdowa, biorąc za zapis od 50 kop. do 1 rubla, żądają kolejną za 17 marek dojeżdżają do Bremenu i tam przechodzą przez agenturę Hejdemana; następnie okrętami dojeżdżają do Portugalii, przynajmniej tak im mówią, a ztamtąd na innych okrętach, które przywożą do Europy zboże, jadą do Brazylii. Od Działdowa jadą podobno na koszt brazylijski. Takie uprzystępnienie wyjazdu ogromnie zwiększa liczbę emigrantów. W okolicach pogranicznych nie ma prawie wsi, z której nie wyszłoby przynajmniej kilku rodzin. Wielu się zupełnie wyprzedaje. Żeby dać chociaż przybliżone pojęcie o rozmiarach emigracji, przytoczę parę przybliżonych cyfr z kilku wsi, położonych w sąsiedztwie Kuczborka. Parafia *Lipowiec* — ludności 4,000 — wyemigrowało lub już wyprzedali się około 300 ludzi. Wsie *Łązek* gminy Niechlönin, wyemigrowali wszyscy parobcy w liczbie 15 rodzin, 3 rodziny jeszcze nie wyszły, ale już wyprzedali się. Ogółem wyszło około 130 osób, we wsi zostało się tylko kilka rodzin i starzy. Zasiwy na folwarku przez to dokonane tylko w połowie. *Gósziszka*, wieś licząca 400 — 500 ludności, osiemdziesiąt kilka numerów, wy-

emigrowało 6 rodzin wyrobniczych i małorolnych. Jeden chce sprzedać 8 morgów z zabudowaniami za 150 rubli. *Chojnowo* 2 parobków 1 małorolny; ze wsi *Sarnowo* 4 parobków, 3 młodych chłopaków ze wsi. *Z Zielonej* 6 gospodarzy 4 parobków. W okolicy dają 7 — 8 korcy ordynary i minimalną zapłatę za dzień. Wielu się wyprzedalo, ale jeszcze nie wyjechało.

Trudno naturalnie zebrać dane statystyczne z większej okolicy, można jednakże w przybliżeniu oznaczyć emigrację za całej gubernii. Przez granicę pod Mławą przeszło do 15 października emigrantów 3 — 4,000, a wyprzedających spotyka się prawie wszędzie, do zimy więc prawdopodobnie przez agenturę w Działdowie przejdzie około 5,000, a ruch do Płocka dopiero doszedł w pierwszych dniach października! Głównie idą najbiedniejsi, ci, co mają jakiś grunt, starają się go pozbyć.

Oprócz rolników emigrują sklepikarze, kowale, właściciele wiatraków. Wszyscy marnują za bezceca krowy, kartofle, wiatraki, grunty. Z miast i osad też na dobre się zaczęła emigracja.

Z Mławy wyszło kilkadziesiąt rodzin wyrobników, doróżkarzy, drobnych rzemieślników i handlarzy. Emigruje element ruchliwy, przedsiębiorczy, z domieszką pijaków i próżniaków. Dla przykładu przytoczę dane, jakie mogłem zebrać w Żurominie o tamtejszych wychodźcach.

Żuromin ludności ma 3,000, katolików około 2,000. Już wyemigrowało 3 rodziny, 11 osób:

1. biedny stolarz z rodziną (miał 40 rubli)
2. wyrobnik „ 20 „
3. ojciec z synem złodzieje 150 „

Wyprzedano się już prócz tego i prawdopodobnie już wyszło 3 szewców, 4 wyrobników, 4 mularzy, 1 stolarz, 3 rolników. Razem 18 rodzin — dziewięćdziesiąt kilka osób t. j. 5% ludności. Mularz oddał w zastaw dom wartości 200 rubli za 80 rubli, z warunkiem oddania w posiadanie za zwrotem całej wartości 200 rubli.

Rzemieślnicy wyprzedali sprzęty, warsztaty, narzędzia, za co zebraли 20 — 50 rubli. Rolnicy 1) wziął 100 rubli i puścił w zastaw 7 morgów, 2) gospodarował od 5 lat na zastawie, na który dał 250 rubli, dziś odstąpił ten zastaw za 80 rubli, 3) za 4 morgi gruntu wziął od rodziny spłaty 50 rubli. Wielu nie na zawsze opuszcza kraj, myślą, że wrócą, jak świadczą o tem układy wyżej przytoczone.

Z żydów nikt nie poszedł.

Oddalając się od Żuromina i wogóle miejsco-

wości blizkich od Działdowskiej agentury — emigracja maleje a może jeszcze się nie zaczęła.

W Okalewie — wsi położonej na połowie drogi między Żurominem a Rypinem, od 3 tygodni dopiero krążą wieści o Brazylii i ze wsi, liczącej 400 mieszkańców wyszło 3 rodziny — 2 parobków i leśniczy razem 15 osób.

Do Rypina i wiosek sąsiednich także niedawno doszedł ten ruch i dopiero się rozpoczyna — tak, że trudno sądzić o jego przyszłych rozmiarach; można jednak przypuszczać, że będą mniejsze, gdyż w tych okolicach i chłop i wyrobnik i rzemieślnik znajdują się w trochę lepszych warunkach, a głównie może dlatego, że emigracja do Północnej Ameryki tu mocno rozwinięta. W stronę Sierpca i w samym mieście emigracja się już na dobre zaczęła. Z miasta wyszło około 30 ludzi, z okolicznych folwarków idzie dużo parobków. Z Prastowa emigrowała cała służba. W Płockiem z wielu folwarków już się podprawiali, niektórzy już wyszli. W Płońskiem także dosyć silny ruch.

Ruchu tego, tak już powszechnego, zdaje mi się nie zdołają powstrzymać najgorsze nawet wiadomości z Brazylii, przynajmniej na razie. Dopóki podróż będzie bezpłatną, potok ludzi, mając wolne ujście, będzie płynął tam, gdzie się spodziewa polepszenia losu. Listom nie dowierzają, gdy w nich odmawiają ich od emigracji, księżom nie ufają, biskupowi Nowodworskiemu, który objeżdża parafie, także nie wierzą. Gdy jednak pewien ksiądz płakał, żegnając emigrantów, (którzy wychodzą gromadnie po składkowej mszy) i zaklinał ich, żeby nie szli, bo tam czeka ich niewola i śmierć, pewien chłop, opowiadając mi o tem, powiada: „jak zaczął płakać, a zaklinać, to se pomyślał, że może on i prawdę mówi”. Ruch emigracyjny do Brazylii, wskutek bezpłatnego przejazdu, jest ruchem bardzo poważnym liczebnie i nieobliczone skutki za sobą może pociągnąć. Emigracja teraz została uprzystępnioną dla wszystkich, a nie dla bogatszych, jak to było dotąd z emigracją do Stanów Zjednoczonych. Ruch ten, stając się powszechnym, uderza w podstawy teraźniejszego gospodarstwa folwarcznego. To też każdy chłop widzi, że emigracja przynajmniej dla pozostałych jest korzystną, „nakoniec Matka Boska nas wzięła pod opiekę”, „nam będzie lepiej, a im gorzej nie może być” — mówią.

Większość prawdopodobnie wyjeżdża na za-

podróżnym i przejeżdżnym; nie czyści kawalerom butów i nie sprząta ich nędznych mieszkani na trzecich piętrach za nędznego rubla na miesiąc; nie ściga się ze swoimi ordynarnymi współzawodnikami o marne piętnaście czy dwadzieścia groszy za kurs, na lada skinięcie jakiegoś przechodnia, dla którego kto pierwszy — ten lepszy; nie wystaje po całych godzinach na rogach ulic, czy deszcz za kołnierza leje, czy od mrozu ręce grabieją, czy słońce w głowę pali, czy żołądek ściska się od głodu, czy język schnie z pragnienia; nie gnieździ się do współki z jakimś czeladnikiem od krawca w małej, nieopalonej w zimie, dusznej w lecie, a ciemnej zawsze izdebce, w suterynie na Bednarskiej ulicy; nie jada po szynkach żydowskich nędznej strawy, złożonej z chleba kwaśnego, kawałka kiełbasy lub śledzia i kilku kieliśków wódki. Był panem siebie, to prawda; ale cóż z tego, że wtenczas nikt nad nim nie przewodził, nikt go się nie pytał, gdzie był i co robił, nikt mu nauk nie dawał — kiedy teraz jest mu lepiej, jest mu nawet, można powiedzieć, dobrze. Siedzi sobie na miękkich fotelach, patrzy na takie śliczności, jakich nawet w Ocieszynie nie było, pija rano herbatę z bułkami, potem zjada wcale porządny obiad, chociaż mu córka skąpi wódki, a już co piwa, to nigdy nie daje, bo sama nie pije, i wreszcie idzie sobie wieczorem na kufelczek. Żeby umiał zarobić jakich parę złotych na dzień, to by

mu było jeszcze lepiej, bo i córka nie wymagała by mu tych dziesiątek, które od niej kiedy niekiedy wyciągnie, wycygni, albo wygra w rumla, i miałby za co się zabawić i jakoś lepiej by się mógł ogarnąć. Przecież chodzi w tem ubraniu, co zostawił u córki przed paru laty jeszcze, a które źle leży i jest już bardzo wytarte. Gdyby się wystroił, jak się należy, to może prędzej by znalazł jakieś miejsce stałe, a nawet postarał by się o posadę szwajcara czy woźnego przy teatrze. A tak, nie śmie bardzo ludziom się na oczy pokazywać, choć wcale nie jest dumny. Ale Bogu dziękować i za to: ma co jeść i ma gdzie spać, a że mu się chce tego i owego jeszcze, to i na to przyjdzie czas. Jeżeli nie córka, to któryś z jej przyjaciół raz go przecie wetknie gdzieś na jakąś posadę, i wtenczas będzie miał wszystko, jak się należy. Teraz jeszcze trzeba siedzieć cicho i być posłusznym, bo córka, dobra kobieta, choć do rany przyłoż, ale ma swoje kaprysy, grymasy, jak każda kobieta, i chce koniecznie rządzić. Ale one wszystkie takie; jak tylko której nie trzymać krótko, tak ona zaraz człowiekowi na łeb siada i tra ta ta przez cały dzień o byle co, a nawet i bez niczego. I Załogowski, tak rozmawiając z sobą w duszy, machnął ręką.

— Czy ojciec nie wie, że to już czas do teatru? — spytała Zofija, stając na progu w ubraniu do wyjścia.

— Nic-eś mi nie mówiła...

— Ojcu o wszystkim trzeba przypominać, jakby nic sam, bez wołania nie mógł zrobić.

— Idę, idę, moja duszko — odpowiedział Załogowski, zrywając się z fotelu z pośpiechem służbisty, który na głos chlebowodawcy otrząsa się w jednej chwili z odrętwienia i automatycznie spełnia rozkaz.

Zofija niedługo czekała. Po chwili z jadalnego pokoju wyszedł Załogowski w starym, zaplamionym, brązowym paltocie, z pobrywanymi guzikami, który wisiał na nim, jak worek, ponieważ był już za obszerny, i z czarnym, spłowiałym, szarym od kurzu i tłuszczu, połamanym kapeluszem okrągłym w rękę.

— Proszę tylko trzymać ostrożnie! — rzekła Zofija do ojca, podając mu duże, podługowate zawiniątko.

— Nie bój się, moje dziecko! Alboż to ja nie wiem, co niosę? Przecież mam głowę na karku! — odpowiedział uspokajająco Załogowski, i, odebrawszy delikatnie z rąk córki zawiniątko, w którym znajdowała się strojna suknia na dzisiejsze przedstawienie, wyszedł za nią.

Była to codzienna prawie scena, a razem jedyna czynność Załogowskiego, z której on zresztą wywiązywał się chętnie, nie tyle przez poczucie jakiegoś obowiązku, ile przez proste przywiązanie do córki. Mimo wszystko bowiem kochał ją szczerze, i dziś za nic w świecie by się z nią nie rozłączył.

wsze, chociaż wszyscy zaklinają się, że będą pisywali listy i uwiadomiali o losie swoim, informowali, wielu nakoniec wyjeżdża z rodzinami nawet, ale z zamiarem powrotu.

Antoni Hempel.

Stowarzyszenia współdzielcze

ze względu
na interesy pracy.

I.

W chwili, gdy się ten artykuł ukaże w druku, w Marsylii zasiadać będzie kongres międzynarodowy rozmaitych stowarzyszeń współdzielczych a przeważnie spożywczych. Zapowiedziało w nim swój udział przeszło 1,500 stowarzyszeń z Anglii, 800 z Francji, 700 z Włoch, 300 z Belgii i 200 z Szwajcaryi. O innych krajach nie mamy wprawdzie wiadomości, sądzymy jednak, że ogół stowarzyszeń reprezentowanych na nim z pewnością przejdzie 4,000.

Wysuwając instytucje te w tak imponujący sposób na porządek doby, kongres marsylski nadarza nam dobrą sposobność do pomówienia o nich w naszym piśmie.

Metoda współdzielczości, czyli kooperacji oddawna zalecaną była jako najpewniejszy i najbardziej pożądany sposób wywikłania stosunków robotniczych z antagonizmów kapitału i pracy. Z drugiej strony wypowiedziano o niej wiele zdań beznadziejnie sceptycznych. Dopóki jednak zarówno nadzieje entuzjastów współdzielczości, jak i wątplenia sceptyków obracały się około przewidywania przyszłości, kwestyja pozostawała otwartą.

Obecnie, ruch współdzielczy wyszedł już, przynajmniej na Zachodzie, z okresu usiłowań próbnych. Mamy dziś wiele tysięcy stowarzyszeń a w tych setki od kilkunastu a nawet kilkudziesięciu lat czynnych. Typy ich organizacji zaznaczyły się bardzo wyraźnie a tryb gospodarki zdołał się już tak porządnie ustalić, że chyba tylko jakaś wielka katastrofa społeczna byłaby go w stanie odmienić w bliższej przyszłości.

Jeżeli więc pominiemy tę ostatnią ewentualność, to znajdziemy się, ze względu na ową kwestyję, w tem szczęśliwym położeniu, kiedy odpowiedź znaleziona na dziś wystarcza dla jutra.

Mówiąc inaczej, możemy, zamiast na pytanie; czem kooperacyja będzie lub być może z czasem, szukać odpowiedzi na inne, daleko łatwiejsze—czem jest teraz?

Prarodzicielka tych instytucyj, Anglija dotychczas w ruchu kooperacyjnym przoduje. Jej przykład nie przestaje podsycać inicjatywy tego ruchu na kontynencie. Tam wiara w jego skuteczność jest najsilniejszą i—co ważniejsza—najbardziej uczynkową. Tam wreszcie posiada on najbogatszą literaturę — nie "apologetyczną, jak we Francji a poczęści także w Niemczech, ale tę przeważnie utylitarną, praktyczną, która się składa z tysięcy sprawozdań gospodarczych pojedynczych stowarzyszeń, z referatów, odczytywanych na dorocznych zjazdach kooperacyjnych, z najrozmaitszych opracowań statystycznych i historycznych, z wydawnictw pomocniczych w rodzaju instrukcyj i przewodników do zakładania i prowadzenia przedsiębiorstw współdzielczych, i t. p. W Anglii też znajdujemy najwięcej danych do odpowiedzi na nasze pytanie.

Stowarzyszenia współdzielcze w Anglii tworzą jeden Związek—„Co-operative union”, mający na czele radę reprezentacyjną, zwaną *Biurem centralnem*—„Central Co-operative Board.” Związek ten obejmuje przeszło 1,500 stowarzyszeń, które liczą 1,000,000 z okładem członków, prawie wyłącznie robotników. Ogólny kapitał związku w udziałach i depozytach wynosi około 350,000,000 franków. Te stowarzyszenia tytułują siebie „prawdziwymi”—*genuine*, nazywając inne, nie należące do związku (zresztą bardzo nieliczne) „nieprawymi”—*bastard associations*.

Ciekawą jest rzeczą, jak sami kooperatorzy pojmują cel i metodę kooperacji.

Ze statutu w związku dowiadujemy się ¹⁾, że celem jego „jest wprowadzenie zasad uczciwości, sprawiedliwości i oszczędności do produkcji i podziału bogactw”... oraz „pogodzenie sprzecznych (conflicting) interesów kapitalisty, robotnika i nabywcy (customer) przez słuszny podział funduszu, znanego pospolicie pod nazwą zysku.”

W *Przewodniku dla współdzielców* ²⁾, wydanym z polecenia kongresu kooperacyjnego przez biu-

¹⁾ *Industrial Co-operation*—przez Dawida F. Schloss'a, w *The Fortnightly Review*, Maj, 1890.

²⁾ *Manuel for Co-operators*—wydany przez Tomasza Hughes'a i Edwarda Vansittart Neale, sekretarza głównego związku.

ro centralne, znajdują się aż dwa określenia kooperacji. Jedno, w *Przedmowie*, głosi, że „ma ona na celu uregulowanie czynności wytwarzania i sposobów podziału przedmiotów materialnych.” Drugie znowu, w rozdziale *O stosunku kooperacji do religii*, powiada, że „kooperacyja przychodzi z natchnienia boskiego, ażeby wyprowadzić człowieka z niewoli ciała na wolność ducha...”

Czem jest kooperacyja w rzeczywistości, mamy właśnie zobaczyć.

Dawid F. Schloss, z którego pracy głównie tu korzystamy, sprowadza kooperacje angielskie do trzech kategorii.

Do pierwszej zalicza on stowarzyszenia, typem których są przedsiębiorstwa bawełnicze w Oldham. Przedsiębiorstwa te, w liczbie przeszło dziesięć tysięcy, mają w rozporządzeniu swoim kapitał, wynoszący około 140,000,000 fr. i podzielony na akcye, z których kilka tysięcy znajduje się w posiadaniu robotników. Sposób, w jaki kooperacyja tego typu dokonywa „pogodzenia sprzecznych interesów kapitalisty, robotnika i nabywcy produktu przez słuszny podział funduszu, znanego pospolicie pod nazwą zysku”, jest niewymownie prosty: cały zysk bowiem zabiera kapitalista.

A. H. Dyke Acland i Benjamin Jones, z których pierwszy był a drugi jest obecnie członkiem biura centralnego, twierdzą ³⁾, że w roku 1885-ym „nie było w Oldham przedsiębiorstwa, z udziałów której więcej jak 20% należałoby do robotników, mających w niej zajęcie.” Robotnicy unikają tych zakładów, których są współwłaścicielami—szczegół wysoce charakterystyczny.

Można ten typ kooperacji w kilku słowach opisać. Pewna liczba robotników, nabrawszy przekonania, że właściciele przedsiębiorstwa nie liczą się z ich krzywdą, powzięła myśl skorzystania ze swych oszczędności w tym celu, ażeby założyć towarzystwo udziałowe i stać się zbiorowym „pracodawcą” samych siebie. Myśl ta została urzeczywistniona, powstał nowy gatunek ludzi: „pracodawcoobiercy” czyli mieszańcy kapitalisty z najemnikiem, i nadzieje humanitarystów odrzucono o kilkanaście stopni podskoczyły.

Cóż się jednak okazało?

Te istoty z pochodzenia dwoiste wkrótce się całkiem rozdziwiły. Kapitalisci-najemnicy, jako kapitalisci, używają dziś w swoich przedsiębiorstwach

³⁾ *Working-men Co-operators*—przez..., poradnik.

Czasem przychodziło mu na myśl, coby zrobił, gdyby ona, tak naprzykład, poszła za męża i kazała mu odejść od siebie, iść mieszkać gdzieindziej, bo głównie szło mu o mieszkanie razem, pod jednym dachem; lecz myśl ta wydawała mu się tak potworną, tak nieprawdopodobną, że się przed nią bronił, jak przed zmorą, i na to konto wypijał większą niż zwykle ilość kufli piwa, zwłaszcza jeżeli mu wśród dnia wpadło jakichś parę złotych do kieszeni. Nie można powiedzieć, żeby stał się pijakiem, nałogowcem: chowaj Boże!... Przecież sam nie pił nigdy, a i pijanym zupełnie nigdy go też nikt nie widział. Miał kompanijkę, ot! i cała rzecz. Ten postawił swoje, tamten swoje i kilka kufelków się zebrało, a cóż to kilka kufelków na takiego człowieka, który w swoim czasie, kiedy było za co, umiał wino, i to nielada wino, pić butelką. Najgorsze tylko, że czasem okazała się potrzeba wypić parę kieliszków wódki, tak pomiędzy jednym kufelkiem piwa a drugim, z różnych okazji: to zjadło się coś tłustego, to ktoś ze znajomych wpadł na chwilę rozgrzać się lub zakomunikować jakąś ważną wiadomość, to znów żółdek wymagał tego koniecznie, a zdrowie szanować trzeba przedewszystkiem. A że Załogowski i z natury i z kolei życia, nie miał tegiej głowy, więc też czasem mroczyło mu się w oczach, choć naprawdę pijany nie był. Córka mu to wymawiała bez końca, ale,

Bogiem a prawdą, racyi nie miała: zawsze się przecież trzymał na nogach ostro, i przez pięć czy sześć miesięcy, jak u niej, a raczej z nią mieszka może dwa a może trzy razy wszystkiego zdarzyło mu się, że się spóźnił, bo nie zapomniał przyjść koło jedenastej do teatru po córkę. Zresztą tak bardzo nie było i po co. Córka prawie zawsze po przedstawieniu szła to z tym, to z owym na kolację. Najczęściej więc wracał sam z zawiniątkiem pod pachą, lub w ręku do domu i kładł się spać, klnąc niekiedy w duszy, że dla głupiej kiecki musiał opuścić dobrą kompanijkę, a nawet czasem nie dopić kufelka.

— Niechże się tylko ojciec dziś znowu nie spóźni!—odezwała się Zofija do ojca nakazującym tonem, odbierając od niego zawiniątko przed drzwiami swej garderoby w teatrze.

— Ależ bądź spokojną, moja duszko! Przecież wiem, co to obowiązek!—odpowiedział Załogowski przekonywająco.

I Załogowski nie spóźnił się. Jeszcze nie było jedenastej, kiedy wszedł na korytarz, i, potrącony przez aktorów, aktorki, rozmaitych frantów z miasta, woźnych teatralnych, prywatne służące aktorek, zaczął odbywać stojką pod drzwiami garderoby swej córki. Z wnętrza dochodziły go śmiechy i głosy córki i dwóch czy trzech mężczyzn. Widocznie już się przebrała. Bogu dzięki! Nie trzeba będzie długo czekać. W jakiś kwadrans drzwi otworzyły i Zofija wysunawszy ostrożnie

głową, wyjrzała na korytarz. Zobaczywszy Załogowskiego, cofnęła się, i po chwili wynieśli to samo zawiniątko z zielonej glasy, pospinane szpilkami. Była już ubrana do wyjścia: w paltociku do figury i kapeluszu fantazyjnym; nie miała jednak widocznie zamiaru iść do domu, gdyż, podając ojcu zawiniątko, rzekła cicho, lecz prędko:

— Niechże ojciec odniesie to zaraz do domu i zapali lampę w salonie, żeby było widno, jak wróć! Tylko proszę, nie pognieść mi znowu sukni!

— Jeszcze by też!... Niby to ja nie umiem!...

I Załogowski, niosąc zawiniątko przed sobą w obu rękach, jak dziecko w poduszce do chrztu, poszedł do domu. Zwyczajna to już rzecz dla niego. To też, jak tylko przyszedł, zaraz zapalił lampę w salonie, odchylił trochę drzwi od przedpokoju, aby córce było widno, jak wejdzie sama czy z Gurbaleckim, który ją czasem, dla konwenansu tylko, odprowadzał do samego mieszkania—i zaraz potem zaczął przygotowywać sobie posłanie. Nie wiele miał z tem pracy i zachodu, ale zawsze miał trochę. Ponieważ sypiał w jadalnym pokoju, do którego czasem możeby było potrzeba wprowadzić kogoś wieczorem, więc posłanie jego znajdowało się w kuchni na pawlaczu. Zapaliwszy kawałek świecy, jedyny, jaki był w lichtarzu, poszedł do kuchni, wszedł po drabince na pawlacz i zdjął najprzód kołdrę i poduszkę, a potem siennik. Czasem, jak miał

zwyczajnych robotników najemnych, traktując ich w taki-samiuteński sposób jak najzwyczajniejsi gospodarze-kapitałiści. Jednocześnie, jako najemnicy, pracują oni w przedsiębiorstwach innych kooperatorów lub prywatnych właścicieli i urządzają im od czasu do czasu jak najbardziej prawidłowe bezrobocia.

Prezydent jednego z kongresów współdzielczych nazwał Oldham „najkooperacyjniejszym miastem na świecie”; jest-to zarazem, że tak powiemy, naj-trades-union'istyczniejsze miasto w całej Anglii. Dzięki też doskonałej organizacji trades-union'u płaca robotnika w przedsiębiorstwach oldhamskich jest wyższa niż gdzieindziej.

Okoliczność ta wypada bardzo na rękę kooperatorom, obstawiającym za „słusznym podziałem funduszu, znanego pospolicie pod nazwą zysku”: wyższe płace zarobkowe służą im za doskonały pretekst do odmawiania swym „rękom” wszelkiego udziału w zyskach, utrzymują bowiem, że wszystko, co się im „słusznie” należy z łącznego produktu pracy i kapitału, już otrzymali w podwyżce!

Przechodzimy teraz do drugiej kategorii kooperacji—do stowarzyszeń roczdelkiego (Rochdale) typu. Są to stowarzyszenia wytwórczo-spożywcze.

„Pogodzenie sprzecznych interesów” odbywa się tutaj w ten sposób, że najpierw kapitalista otrzymuje sobie pewien z góry oznaczony i stały procent, np. 5%, a dopiero wtedy reszta czystego dochodu, pod nazwą „czystego zysku”, idzie do podziału pomiędzy spożywców jako „dywidenda na kupno”—dividend on purchase.

Ponieważ są to stowarzyszenia niejako dwustronne, przyjrzymy się im z obu stron osobno a naprzód jako spożywczy.

W składach stowarzyszenia znajdują się przedmioty dwojakiego rodzaju: jedne, wyrabiane w jego własnych zakładach, drugie, kupowane od dostawców, i te często stanowią przeważną większość. W jaki sposób, przypuszczając nawet jak najlepsze chęci, stowarzyszeni mogliby się podzielić chociażby najmniejszą częścią zysku z robotnikami, z rąk których wyszły te ostatnie, niepodobna sobie wcale wystawić. Dajmy jednak na to, że tego nikt od nich nie wymaga. Lecz co stowarzyszenia tego typu mogłyby uczynić, gdyby „słuszny podział zysków” nie był tylko czczym frazesem, to zapewnić w nich pewien udział subjektom, posługaczom i innym służącym swoich sklepów. Tymczasem, jak o tem świadczą Acland i Jones, ani myślą o tem. Wystawiać więc kooperację roczdelkiego typu jako system, uwzględniający interesy pracy, jest

w głowie, narobił przy tem tyle hałasu że go służąca skłęta przez sen. Lecz dziś załatwił się cicho ze wszystkiemi. Cicho wyniósł posłanie do jadalnego pokoju, cicho zamknął za sobą drzwi od kuchni, cicho podsuwał krzesła, cicho położył siennik, a na nim poduszkę skórzaną, którą był z sobą jeszcze przed laty przywiózł z podróży, i szarą kołdrę wołokową, z czerwonym szlakiem, która często służyła też za podkładkę do prasowania. Prześcieradła nie używał nigdy, bo to i ambaras przy sianiu i wydatek niepotrzebny na pranie. Że jednak, dziś jakoś sen go jeszcze nie brał, a i świecy kawałek było w lichtarzu, zachciało mu się wziąć coś do ręki, a raczej do poduszki. Postawił więc świecę na ziemi przy posłaniu i poszedł do saloniku poszukać jakiejś książki: może się jakaś powieść albo co ciekawego do czytania znajdzie. Przypadkiem, kiedy przerzucił pomiędzy książkami i pojedynczymi egzemplarzami tygodników ilustrowanych, które beładnie leżały na małym stoliku w kącie salonika, wpadł mu w ręce list. Zwykle listów pisanych do córki nie brał do ręki; ale ten mu rzeczywiście sam wpadł. Nie wiele myśląc, rozłożył różowy arkusik, którego wewnętrzne tylko strony były zapisane i zaczął czytać.

(D. c. n.)

Antoni Sygietyński.

to ani mniej, ani więcej, tylko popełniać niedorzeczności.

Jest to system mający na widoku jedynie interesy spożywców, którzy mogą być robotnikami, ale mogą też nimi nie być. Zobaczmy teraz, co tu zyskują robotnicy, jako spożywczy.

Przed powstaniem stowarzyszeń spożywczych robotnicy w Anglii, jak u nas, jak wszędzie zresztą, kupowali zazwyczaj na kredyt, co, zwłaszcza tych, którzy się ostatecznie uiszczali z długów, musiało grubo kosztować. Opłacali oni lokal zbytecznej ilości sklepów, wypłacali utrzymanie mnóstwa sklepikarzy i ich rodzin, płacili rujnujące procenty od swych długów, wynagradzali rzeczywiste i urojone straty swych wierzycieli, z którymi nie regulowali rachunków w terminie i t. d. Wzamięn za to wszystko otrzymywali towar prawie zawsze w lichym gatunku.

Wtem występuje kooperacja i przemawia do nich temi, mniej więcej, słowy:

„Jeżeli zgodzicie się kupować wszystko w naszych sklepach i za wszystko płacić gotówką, to my podejmujemy się dostarczać wam wszystko, poprzestając na stałym dochodzie 5% o kapitału, jaki włożymy do interesu. Damy wam towary w najlepszym gatunku. Za nie będziecie nam płacić według cen rynkowych. Następnie jednak, po opłaceniu wszelkich kosztów (włączając administrację) i po straceniu 5% na kspitał, oddamy wam całą rentę do podziału, zatrzymując z należności każdego pewną część, aby go uczynić swoim współnikiem. Otrzymacie to wszystko, co dziś stanowi zyski sklepikarzy, (jak gdyby utrzymanie administracji i procent od kapitału nie wchodziły do pozycji tych zysków!). Jako współnicy mieć będziecie prawo sprawdzania wszelkich rachunków i kontrolowania nas, jak wam się spodoba”.

Nic dziwnego, że przemowa tego rodzaju odniosła jak najlepszy skutek. Kooperacja spożywcza szybko pozyskała sobie wielkie zaufanie wśród klas pracujących. Każdemu pozwalała ona kieszonnie swoje przetrząsać i wywracać tak, iż każdy mógł się doskonale upewnić, że go nie oszukują. Ta pewność najwięcej się przyczyniła do jej powodzenia.

Jesteśmy bardzo dalecy od zaprzeczenia pożytku stowarzyszeń spożywczych: nie ulega wątpliwości, że uwolniły one robotnika od mnóstwa sklepikarzy i ich szachrajskiej eksploatacji, że dostarczają mu one produktów w lepszym niż dawniej gatunku a w części także nieco taniej, że wreszcie przyzwyczaiły go do większej gospodarności, odczuwając od brania towarów „na borg”¹⁾, co także coś znaczy. Wszystko to jest prawda i wszystko razem wzięte—nie pozostało bez dodatniego wpływu na budżet robotnika.

Nie widzimy jednak, jak go to wszystko wprowadza „z niewoli ciała na wolność ducha”. Z trzech kardynalnych zasad, głoszonych przez kooperację, widzimy tu „uczciwość” i „oszczędność”, lecz ani śladu owej „sprawiedliwości”, którą robotnicy uważają za podwalinę systemu współdzielczego. Niema tu żadnego znaku „wskaźnika bożkich”, ale najzwyczajniejszy interes, ani gorszy ani lepszy od wszelkiego innego. Oto, co np. mówi Holyoake²⁾: „Jeżeli spożywca ma udział w zyskach stowarzyszenia współdzielczego, to nie dla jakiejś tam teorii sprawiedliwości, ale dla tego tylko, że płaci”. Ten sam otwarty kooperator bez żadnego skrupułu nazywa ten rodzaj kooperacji „a new device of gain”—nowym sposobem zyskowania.

Kooperacja roczdelkiego typu jest zarazem stowarzyszeniem wytwórczym. Uważana z tej strony ani trochę się nie różni od typu oldhamskiego. Ani w zakładach, pracujących dla sklepów, ani w zakładach, tylko należących do stowarzyszenia, lecz pracujących na stronę,—robotnicy nie uczestniczą w zyskach.

„Większość—mówi Benjamin Jones³⁾—stosuje kooperację w tej postaci, która przezywaną bywa „antykooperacją”, „geszeftem”, „oszukaństwem”. A gdy zakłady tego rodzaju produkują na sumę przeszło 50.000.000 franków,

¹⁾ Nadmienimy jednak, że 721 stowarzyszeń spożywczych z pośród 1,225 udziela kredytu na pewnych warunkach.

²⁾ The policy of Commercial Co-operation as respects including the Consumer—przez E. J. Holyoake.

³⁾ W sprawozdaniu na kongresie w Ipswich.

produkcja innych nie dosięga nawet jednej dziesiątej tego”.

To fakty dla nikogo nie są tajemnicą. Nie przeszkadzają one jednak Holyoake'owi zapewniać, że „kooperacja jest tem, czem długie zawieszenie broni na wojnie, a mianowicie, pokojem przemysłu”. Słyszymy też rok rocznie, jak wśród salwy oklasków i okrzyków pełnych zapału zapadają na angielskich kongresach współdzielczych rezolucyje, jak najwyraźniej stwierdzające prawo robotników do udziału w zyskach przedsiębiorstw przemysłowych. Lecz na tych rezolucyjach wszystko się kończy. Kiedy np. kongres 1885 roku zwrócił się do 1,505 stowarzyszeń współdzielczych z zapytaniem, czy „byłyby przygotowane” do zastosowania u siebie tego prawa,—odpowiedziało twierdząco 179, czyli niespełna 12% ogólnej liczby; reszta t. j. 1,026 zbyła zapytanie milczeniem, które zresztą w takich wypadkach za najwymowniejszą odpowiedź wystarcza.

Te 179 stowarzyszeń, „przygotowanych” do przyznania swym pracownikom udziału w zyskach, przenosi nas do trzeciego rodzaju kooperacji.

Pomówimy o niej przyszym razem.

M. Sierakowski.

Psychogeneza.

(Szkice psychologiczne. Wł. Dawida. Warszawa 1890).

Istota materji i ducha, stosunek ich wzajemny, z jego wszystkiemi konsekwencyjami: jak powstanie świadomości, jej rozwój etc. wielokrotnie były przedmiotem badań naukowych, dały impuls do więcej lub mniej szczęśliwych spekulacyj filozoficznych, w rzędzie których, nie nie przesądzając, należy postawić szkic zatytułowany „Psychogeneza”, umieszczony na czole książki, którą obecnie rozebrać zamierzamy.

Przypuszczamy, że autor pisząc ten szkic, miał na celu więcej zaznaczenie swego stanowiska wobec tego rodzaju zagadnień, wyrażenie swego monistycznego poglądu na zjawiska psychiczne, a nie rozwiązanie pytania, czem jest świadomość, w jakim stosunku pozostaje ona do materji. Jeżeli jednak autor postawił sobie to ostatnie zadanie, to, niestety, przyznać trzeba, że zamierzonego celu nie osiągnął. Szkic jego w gruncie rzeczy nie zawiera nic takiego, czego by już dawniej w tej kwestji nie powiedziano, nawet jaśniej i ściślej; z drugiej strony metody rozumowania, któremi autor w dowodzeniach się posługuje, pojęcia, któremi operuje, nie posiadają w sobie wymaganej doży ścisłości naukowej, w niektórych wypadkach są wprost fałszywe, w niektórych fałszywie zastosowane.

Cały bieg rozumowania i rezultaty jego dają się streścić w następujący sposób:

Przyszedłszy do przekonania, że obecnie „najznakomitsi przedstawiciele ścisłej nauki, usiłują przekroczyć zakres swego przedmiotu i podnieść się do ogólnego poglądu”, autor przyjmuje jako pewnik, że „umysł jest faktem, specyficznie różnym i niewspółmiernym z procesem ruchu molekularnego” że jest „rzeczą nierozciąglą”, i dalej dowodzi, że wskutek tego „niepodobna jest na gruncie pojęć naukowych i nie przecząc koniecznym wymaganiom wszelkiej nauki, jakim jest zasada zachowania energii, wykazać stosunku przyczynowego między świadomością a czemśkolwiek innem (procesami materjalnymi)”. Doszedłszy do tego przeświadczenia, a nie widząc możliwości przyczynowego powiązania tych dwóch kategorii zjawisk, autor przypuszcza między niemi stosunek współbytności, stosunek bezprzyczynowy. „Ale współbytności tej, mówi dalej, nie możemy przyjąć na któremkolwiek bądź z wybranych stadyjów rozwoju materji, gdyż w takim razie ciężyłby na nas obowiązek wskazania zjawiska, które bezpośrednio poprzedziło, czyli było przyczyną pierwszego błysku świadomości, co jak widzieliśmy, jest niemożliwem; zatem współbytność materji i świadomości, a raczej ducha, przyjąć musimy jako powszechną i wieczną. Na początku była materja i duch, niema materji bez ducha, jak i odwrotnie”.

Przypuszczam, że dla każdego czytelnika, który uważnie szkic ten przeczytał, najbardziej uderzającym było, co następuje:

„Logiczna konieczność doprowadza autora do przyjęcia duchowego pierwiastku, jako pierwotnej cechy materji”, „niema materji bez ducha”; taż sama prawdopodobnie konieczność, zmusiła autora do przyjęcia, że duchowy pierwiastek jest nierozciąglą, wskutek czego daje się wyprowadzić wniosek, że jedną z pierwotnych cech materji jest nierozciąglność.

Nie wiele trzeba się wysilać, aby dowieść, że przypisywanie cechy nierozciąglności danej rzeczy, której jedną z najważniejszych cech jest to, że zajmuje w przestrzeni pewne oznaczone miejsce, więc jest rozciąglą, jest czemś, na co się w żaden sposób zgodzić nie można: materja ma być jednocześnie rozciąglą i nierozciąglą... Również uważanie nierozciąglności, jako cechy, nie zgadza się z zasadami naszego poznania, nawet wówczas, gdybyśmy tę cechę uważali jako ujemną, jak to robi autor.

Terminy, jakich używają do oznaczania tego hypotetycznego duchowego pierwiastku materji Spinoza (myślenie), Schopenhauer (wola), Noire (uczucie), nie podobają się autorowi, ponieważ „każdy z tych wyrazów więcej mówi niż jest pożądanem”; tymczasem termin „pierwiastek nierozciąglności” ma właśnie tym warunkom w zupełności odpowiadać.

Przedewszystkiem nierozciąglność nie może właściwie tkwić w czemkolwiek bądź, nie może być zatem uważaną jako cecha tej rzeczy, ponieważ pojęcie to nie oznacza nic więcej jak to, że dane coś nie zajmuje żadnego miejsca w przestrzeni, że rozciąglność w jednym lub wszystkich kierunkach, równa się zeru, że w ogóle wcale nie istnieje. Weźmy przykład. Twierdzimy np. że jedną z cech kwadratu jest to, że nie jest kulistym, czyli że niekulistość jest jego cechą. Pomijając już to, że cechę tę będą miały wszystkie inne figury geometryczne, zwracamy uwagę na okoliczność, że cecha ta nie stoi w żadnym związku z własnościami kwadratu, a zależną jest tylko od istnienia pewnej formy po za kwadratem. Gdyby n. p. nie było wcale koła, to i ta cecha kwadratu nie istniała by wcale, zjawia się ona tylko wówczas, kiedy istnieje koło. Cecha „niekulistości” nie tkwi w kwadracie, jest tylko formą naszego myślenia, wyprowadzoną formalnie na zasadzie ogólnych praw myślenia, której nie można przypisywać jakiegos realnego znaczenia; nie może ona służyć jako przyczyna, lub jako substrat pewnych innych własności lub procesów w danym kwadracie. Nikt nie będzie twierdził, że pewne cechy kwadratu wypływają z jego „niekulistości”, lecz tylko z pewnych innych zasadniczych cech, właściwych tej formie geometrycznej.

Nierozciąglność jest właśnie takiego samego rodzaju terminem, co i niekulistość, zjawia się jako antyteza rozciąglności, została wyprowadzoną drogą logicznego rozumowania. Zjawiska w czasie nazywamy nierozciąglami, ale nie uważamy przez to nierozciąglności, jako ich cechy, ponieważ istnienie jej zależnem jest od tego, że znamy jeszcze procesy, odbywające się w przestrzeni, a więc rozciąglę; gdyby tych nie było, zjawiska w czasie przestały by być nazywane nierozciąglami.

Wobec tego nietylko nie rozumiemy, co to znaczy nierozciąglność, jako pierwiastek, cecha materji, ale zarówno niezrozumiałem jest dla nas, jak coś, co nie tkwi w danej rzeczy, co jest tylko terminem logicznym, wytworem naszego myślenia, może służyć jako podścielisko całego szeregu zjawisk, jakimi są zjawiska psychiczne.

O tem, że brak czegoś, nie może być uważany za cechę w ścisłym znaczeniu, świadczy to, iż dany przedmiot, który byłby zdefiniowany tylko za pomocą wyliczenia całego szeregu cech, których on niema, a które posiada dana inna forma, przedmiot taki, powtarzamy, nie byłby dla nas niczem określonym, nie moglibyśmy go sobie wyobrazić, wiedzielibyśmy tylko, że nie jest tem, z czem go porównujemy.

W ogóle sam fakt nadawania materji cechy nierozciąglności jest jako myśl, że stanowiska psychologicznego, zjawiskiem dość dziwnem. Jedynem wytłumaczeniem, może być przypuszczenie, że jedno ze słów „materja” lub „nierozciąglność” albo oba razem, nie są związane u autora z rzeczywistym naukowym pojęciem o tych rzeczach, jak to zresztą staraliśmy się wyżej dowieść. Że autor niektóre pojęcia, zu-

pełnie błędnie sobie przedstawia, dowodzą następujące fakty. Na stronie 3, spotykamy się z następującym wywodem. „Ilość ruchu w każdej formie energii, czyli w każdym wyrazie powyższego równania (425 kilogramometrów=1 calorii=X jednostek energii świetlnej=Y jednostek energii elektrycznej..=Z jednostek energii świadomości), w myśl prawa zachowania siły (1), musi być równą ilości ruchu innego wyrazu”. Z tego najprzód widać, że dla autora siła i energija są to rzeczy równoznaczne, synonimy, których można dowolnie używać np. dla względów stylistycznych. Tymczasem „zasada zachowania energii” jest wyrazem pewnego prawa, podczas gdy „zasada zachowania siły” przy obecnem naszym pojmowaniu siły, nic nie oznacza, jest terminem wprost fałszywym.

Dalej „ilość ruchu” i „energija” podług autora, są sobie mechanicznie równoważne, różnią się od siebie tylko subiektywnie, są innego rodzaju, różnią się od siebie czemś, co dany rodzaj ruchu określa. „W równaniu tem, mówi autor, każdy wyraz oznacza pewien rodzaj ruchu i pewną jego ilość, równoważną ściśle ilości innego ruchu”.

A ponieważ każdy wyraz oznacza pewną ilość energii, więc ztąd wniosek, że energija u autora jest to pewna ilość ruchu pewnego rodzaju.

W rzeczywistości jednak „ilość ruchu” jest to zupełnie co innego, aniżeli energija. Analitycznym wyrazem „ilości ruchu” jest iloczyn masy przez szybkość (m v) podczas gdy energija wyznaczają bądź za pomocą wzoru $\frac{1}{2} m v^2$ t. j. iloczyn połowy masy przez szybkość w kwadracie, lub też wzoru p s co znaczy siła przez przebieżaną przestrzeń. Łatwo z tego wywnioskować, że równość ilości ruchu wcale nie warunkuje równości energii, właściwie jedno z drugim nie ma najmniejszego związku. Jeżeli weźmiemy dwa procesy, których energija wyrazi się za pomocą $\frac{1}{2} m_1 v_1^2$ i $\frac{1}{2} m_2 v_2^2$, to kiedy te dwa procesy są sobie mechanicznie równoważne, wówczas między powyższymi wyrazami możemy napisać znak równości. Niewiele trzeba znać matematyki do tego, aby dowieść, że równość tych iloczynów wcale nie pociąga za sobą równości iloczynów $m_1 v_1$ i $m_2 v_2$, które wyznaczają ilości ruchu w obydwu procesach; wielkości te mogą być nierówne, mimo to prawo zachowania energii nie będzie wcale naruszone, jak i odwrotnie obydwu procesy mogą posiadać równe ilości ruchu, mimo to nie będą się równoważyć co do energii. Wniosek: w równaniu autora, pomimo tego, że ilości energii są wszędzie jednakowe, ilości ruchu mogą się od siebie różnić, wcale nie potrzebują być ściśle równe sobie; to też autor jest w błędzie, twierząc, iż prawo zachowania energii pociąga za sobą równość co do ilości ruchu.

Wobec tak luźnego określenia zasadniczych pojęć, jakimi są energija, siła, ruch, nierozciąglność, prawo zachowania energii, nic dziwnego, że cały gmach rozumowania, na nich wzniesiony, niepewno stoi, nie ma żadnej naukowej wartości. Rozumowanie, które doprowadziło autora do przyjęcia współbytności materji i ducha, wyłączenia ich z pod prawa przyczynowości, nie posiada wskutek tego wymaganego stopnia ścisłości i naukowości. Opiera się ono w zasadzie na dwóch twierdzeniach: 1) że procesy duchowe i materjalne nie mogą być z sobą związane prawem zachowania energii; 2) że prawo zachowania energii jest jedynym możliwym wyrazem przyczynowości zjawisk w naturze.

Co do pierwszego punktu to nauka nie wypowiedziała dotychczas nic pewnego; prawo to nie zostało jeszcze skonstatowane we wszystkich materjalnych procesach natury, a tym mniej w zjawiskach mieszanych, składających się z elementów psychicznych i materjalnych.

(dok. nast.)

GŁOSY.

— **Wystawa etnograficzna.** W dniu 1 listopada otwartą została w gmachu Muzeum Przemysłu i Rolnictwa „Wystawa etnograficzna środkowej Afryki ze zbiorów Leopolda Janikowskiego”. P. Janikowski w ciągu siedmiu lat poznawał zachodnie brzegi Afryki. Po powrocie z pierwszej wyprawy (1882—1886) miał w Warszawie odczyty, w których opisał swój pobyt na wyspie Fernando Po, w górach Ka-

meruńskich i w kraju Bakundu; w drugiej podróży zbadał okolicę zatoki Covisco i gór Kryształowych. Obecna wystawa łącznie z wygłoszonym w r. b. odczytem jest właśnie owocem tej drugiej wyprawy.

Od kolekcji, zebranej staraniem i kosztem jednego człowieka, wiele wymagać nie można; tym większą trzeba przyznać zasługę p. Janikowskiemu, że zbiory jego są tyle kompletne, iż odtwarzają w zgrupowaniu ten stan kultury plemienia Mpangue, jaki w odczycie starał się skreślić. Katalog objaśnia nas, że przedmioty zebrane zostały w ludożerzem plemieniu Mpangue (inaczej—Fan), plemieniu silnem i przedsiębierczem, które wskutek naporu arabów posuwa się z głębi ku brzegom, wypierając słabsze plemiona.

Ogólny widok zbiorów charakteryzuje kulturę Fanów: przeważa broń, ozdoby ciała, przedmioty kultu religijnego, muzykalija, najmniej zaś miejsca zajmują narzędzia gospodarskie. Plemię to ma stosunki z Europą, której zawdzięcza broń palną, mosiądz na bransolety, trochę tkanin a przedewszystkiem paciorki i guziczki weneckie.

Nadbrzeżni krajowcy wzorują niektóre wyroby na europejskich, niektóre zaś, jak patarafki i koszyczki, przeznaczają do handlu z europejczykami.

Wypada nadmienić, że baty ze skóry hypopotama wyrabiane są jedynie dla zamieszkujących faktoryje europejczyków, którzy posługują się nimi w szczepleniu zasad wyższej cywilizacji.

Mpangowie przetapiają rudę żelazną, z której miejscowi kowale wyrabiają zgręcznie ostrza dzid, noże i siekiery, przypominające kształtem dawne narzędzia krzemienne. Tkackie wyroby Mpangów nie przyniosłyby wstydu europejskiemu przemysłowi, gdyby na nich swą pieczęć wycisnął. Tkaniny z włókien roślinnych zadziwiają delikatnością wyrobu. Kiosk strzeżony przez manekin, przedstawiający fetyszersza w masce, mieści w sobie przedmioty kultu plemienia: fetysze, czaszki malowane na czerwono i amulety. Zwracają tu uwagę czaszki Mpangów, okazy, których, zdaje się, nie posiadają muzea europejskie.

Wszec stronny i ciekawy dział przyrodniczy, czeka na specjalistę, który go pewno z pożytkiem wyzyska.

* * *

— **Sympatyczne prądy.** *Kuryjer poranny*, prostując ścieżki opinii, zaprowadził ją do cyrku; tam rozrzewniły go figle wieczorne i opinija otrzymała taką oto instrukcję. „Do dnia wczorajszego cyrk Truzziiego nikomu nie był jeszcze znanym w naszym mieście a dziś już, po pierwszym zaledwie przedstawieniu można mu niechybnie wróżyć doskonale powodzenie, gdyż od razu, pierwszego wieczoru zapanował między areną i publicznością ten prąd sympatyczny, który stanowi najgłówniejszą oś powodzenia. Bo też nowy personel cyrkowy najzupełniej na to zasługuje... Artyści dobrzy bez wyjątku prawie, a niektórzy prawdziwie świetni”. Przepuszczać można, że jeszcze wcześniej pomiędzy reporterem a właścicielem cyrku zapanował również prąd sympatyczny, stanowiący najgłówniejszą oś wszelkiej reklamy.

* * *

— **Z prasy.** Z zamieszczonego w *Roli* artykułu p. t. „Sprawa żydowska w Galicyi” przytaczamy szereg charakterystycznych danych o własności ziemskiej.

Do 1862 r. było w całej Galicyi ledwie 38 żydów, posiadających większą własność i jako takich uprawnionych do głosowania. Gdy zaś ustawy zasadnicze, uchwalone w Wiedniu w r. 1867; zniosły to ograniczenie i żydów z innymi obywatelami zrównały, wtedy rzucili się oni gorąckowo do nabywania ziemi, i już w roku 1870 mamy w Galicyi 68 dziedziców moźszowego wyznania.

Nadszedł rok 1873, pamiętny w dziejach Austrii. Na giełdzie wiedeńskiej powstał krach, który straszliwie spustoszył naszą prowincję. Bardzo wielu obywateli, kupujących papiery, znalazło się nad przepaścią. Dla niektórych z nich sprzedaż ziemi była jedyną deską ratunku. Żydzi korzystają z tego, i już w r. 1876 posiadają oni w Galicyi 289 majątków. Nie koniec jednak na tem. Po krachu nastąpiły lata dość nieurodzajne, a oprócz tego przesilenie agrarne dało się czuć w całej Europie. Żydzi ciągną zyski z nędzy powszechnej i ziemię dalej wykupu-

ja. Skutkiem tego, w chwili, gdy te słowa piszę, 543 większych majątków znajduje się już w ich rękach. Cyfr, które przyzyłem, nie chwytam z powietrza. Wyjąłem je z najnowszej statystyki, układanej przez osobne biuro Wydziału rządowego, więc też ich autentyczność nie ulega żadnej wątpliwości. Ponieważ w całej Galicyi mamy około 6,0 gmin, przeto żydzi posiadli już prawie 10 część w całej własności ziemskiej. Morgów w tych do- brach na oni razem przeszło 400,000; ale nie koniec na tem. Prócz majątków większych, nabyli także 187 folwarów, nie wliczając w to gruntów włościańskich, o których będę mówił niżej.

W pięciu krakowskim posiadają 29 majątków; w tar- nowskim 85 majątków; w rzeszowskim 33 majątki; w tar- nopolskim (Podole gal.) 52 majątki; w czortkowskim (Po- dole l.) 32 majątki; w zloczowskim 54 majątki; w brze- żanach 25 majątków; w stanisławowskim 34 majątki; w stryżym i kołomyjskim 42 majątki; w samborskim 37 majątków, — reszta rozsiadła się po innych okręgach. Wzrost ich rozrostu przyszedł do tego, że żydów, upraw- nionych do głosowania z kury większej własności, mamy już w Galicyi 13^o/₁₀. A więc prawie każdy siódmy dzie- dzio żyd. Piękne widoki!

brzoż okazuje się jeszcze bardziej dantejskim, jeżeli go uświetnimy nowym światłem. Cała własność większa po- siada w Galicyi 5,500,000 morgów. Z tego ma rząd tryjacki 415,000 morgów; biskupstwa, klasztor i be- nedyktyna 213,000 mor.; fundacje świeckie 80,000 mor.; inny 20,000 mor.; magnaci 117,273 mor.; arcyksiążę- ci i niemiecy 450,000 mor. — razem przeto znajduje się w- łaścicielstwo, nie mających z naszymi właścicielami nic wspól- nego 1,294,273 morgów. Na właścicieli mniejszych, tj. jedno i dwuwioskowych, przypada zatem mało co więcej niż cztery miliony morgów, z których już całą dziesiątą część żydzi nam zabrali.

Lecz czy żyd tylko na największą własność się rzuca? Bynajmniej. Mniejszy kapitalista, mający kilkadziesiąt gul- denów, sięga po zagrodę włościańską, i dziś, zwłaszcza w Galicyi wschodniej, niema ani jednej takiej wioski, w którejby nie było choć kilku chłopskich osad w ręku ży- dów arcydzierżawców, pachciarzy, lub zwykłych handlarzy. Ze- branie dat w tym kierunku jest niezmiernie trudne, po- nieważ statystyka nie zajęła się jeszcze w sposób wyczerpu- jący tym ważnym przedmiotem. Więc tylko z liczy- tacy, przeprowadzonych po wsiach przez żydów, można w przybliżeniu wywnioskować, jakie spustoszenie zrzadzili oni między ludnością włościańską. W dziesięcioleciu, mianowicie od r. 1873 do 1883, żydzi bądź wprost dla siebie, bądź na rachunek osławionego Banku włościań- skiego, który, jak wiadomo, był nawskroś żydowski, do- kałali nie mniej i nie więcej tylko 15,973 liczytacy osad włościańskich i posiadli je prawie za bezcen. Od roku 1883 ruch w tym kierunku bynajmniej nie osłabł, prze- cnie może się i wzmógł. Bank włościański bowiem, po- zytający od owego czasu w likwidacji, prawie wszystkie swoje pretensje do 26,600 osad włościańskich odstąpił słom.

Z OBCEGO ŚWIATA.

CXII.

Emigracja europejska do Ameryki północnej i utyskiwa- nia jankesów. — Obniżenie zarobków. — Żydzi polscy w New-Yorku. — Włosi w Nowym Orleanie.

Jeżeli rodzice tak często wyrzekają na nie- wdzięczność dzieci, to największe prawo do utyskiwań ma pewno Europa wobec Stanów Zje- dnoczonych Ameryki północnej. Nie mają one najmniejszego względu na interesy i potrzeby swej matczynej. Za pomocą konkurencji poder- wały jej rolnictwo, za pomocą bilu Mac-Kinle- ya rujną jej przemysł, a zdeorganizowały w ten sposób starą Europę, wytworzywszy masy niezadowolonych, nie chcą tym ostatnim dawać przytulku u siebie. Niechęć do przybyszów eu- ropejskich wciąż wzrasta i zewsząd słyszemy utyskiwania na „nowożytnych hunnów”, takim bowiem imieniem zowią jankesi emigrantów współczesnych. Zapoznajmy się jednak bliżej z argumentami przeciwników emigracji, których spotykamy we wszystkich warstwach społecz- nych, z wyjątkiem może kapitalistów, ciągną- cych bezpośrednio zyski z każdego robotnika.

Najmniej może uzasadnionymi są argumenty tych, którzy widzą w emigracji niebezpieczeń- stwo dla czystości rasy. Zachodzi bowiem py- tanie — jakiej rasy. Jankesi uważają się zwyk- le za rasę angielską, czyli anglo-saksońską. Otóż sami Anglii są rasą mieszaną celtycko-niemiecką, je- żeli bowiem sasi należeli do rasy germańskiej

to Anglii znowu, jak dowodzi ich nazwa, by- li celtykami. Pominąwszy to jednak, przekonac się możemy, że po ukończeniu wojny o niepod- ległość ludność biała 13 kolonij, wynosząca oko- ło 3,200,000 ludzi, rozpadła się na 1,900,000 cel- tów (przeważnie irlandczyków), 840,000 angli- ków i 917,000 holendrów i skandynawów. W cią- gu 80 lat następnych (1790—1870) Stany pochło- nięły kolonije francuskie i hiszpańskie, 9,750,000 irlandczyków, 2 miliony Anglików i 11,250,000 ludzi najrozmaitszych narodów, w których licze- bie duży zastęp stanowią celci Francuzów, hisz- pańscy i Belgijscy. Jak widzimy, cyfry powyż- sze dają niejaki podstawy tym, którzy utrzy- mują, że jankesi, pomimo mowy angielskiej, są rasą celtycką raczej, niż anglosaksońską. Na potwierdzenie tego mniemania przytaczają zwy- kle najrozmaitsze argumenty w rodzaju różnic charakteru narodowego i t. d. W każdym razie trudno mówić o czystości rasy w społeczeństwie, stanowiącem zlepek najrozmaitszych narodow- ści, zlepek, do którego każde dziesięciolecie do- daje nowe zupełnie materjały.

Słuszniejszymi są zarzuty, że emigracja obec- na przynosi Stanom zupełnie inne żywioły, niż dawniej. W pierwszej połowie bieżącego wieku przybyły z za morza, jak zapewniają ameryka- nie, stanowili najlepszą część społeczeństw eu- ropejskich. Zjawiali się ludzie, chcący i umieją- cy pracować, obszary niezajętych ziem dalekie- go Zachodu dawały im natychmiast prawie moż- ność zagospodarowania się i wskutek tego przy- byśle zlewali się wkrótce z tubylcami, przeo- brażali w istotnych Amerykanów. Obecnie, po- wiadają znowu Amerykanie, wobec taniości prze- wozu i zorganizowanej pomocy dla emigrantów Europa systematycznie wyrzuca za ocean tłumy najpół barbarzyńskie, ciemne i zdemoralizowane. Gromadzą się one w wielkich miastach, żyją życiem odosobnionem, nie łączą się z tubylcami, grzęzną w największej nędzy, obniżają stopę za- robków ludności miejscowej i w znacznej części żyją z dobroczynności publicznej. Emigranci dzisiejsi różnią się też znacznie pod względem narodowości od dawniejszych. Dzięki agitacyi ligi rolnej, a później narodowej, zmniejszyły się zastępy irlandczyków, którzy umieli pozyskać sympatje Amerykanów. Zjawiała się natomiast emigracja Słowaków, Polaków, Włochów i ży- dów. Wszystkie te narodowości z rozmaitych powodów wywołują niezadowolone Amerykanów, często nawet to, co my uważalibyśmy ze swego punktu widzenia za przymiot, oburza jankesów, np. przywiązanie do swojej odrębności.

Utyskiwania na przybyszów spowodowało u- stanowienie w r. 1888 specjalnej komisji, któ- ra w portach amerykańskich usiłowała całą spra- wę oświetlić. Najdłużej komisja przebywała w Nowym Yorku, gdyż do tego miasta przy- bywa większość wychodźców. Tak np. w ciągu 1888 r. przybyło do Ameryki 546,889 emigra- ntów, w tej liczbie zaś 418,423 ludzi zawinęło do portu New-Yorkiego. Komisja wykryła wie- le ciekawych rzeczy. Między innemi, komisja stanowczo utrzymuje, że w Europie istnieją spe- cjalne towarzystwa, wysyłające za ocean kale- ków, żebraków i zbrodniarzy, konsulowie ame- rykańscy stwierdzają istnienie takich towarzystw w Niemczech, Anglii, Szwajcaryi i Włoszech. W Bawarii sam król jest opiekunem jednego z takich towarzystw. Angielskie „Tuks Society”, założone przez urzędników, dostarcza bez- płatnych biletów na przejazd do Stanów żebrak- om, kalekom i wypuszczonym więźniom. W cią- gu 6 lat (1882—1886) dzięki temu towarzystwu przybyło do Bostonu 4,922 ludzi powyżej okre- ślonych kategorii. Że nie jest to wypadek po- jedyńczy, wnioskować można z tego, że wszyst- kie hrabstwa angielskie obowiązane są do utrzy- mywania swych niezdolnych do pracy obywateli i że z drugiej strony wszędzie niemal admini- stracja dobroczynności publicznej ma prawo dostarczania środków do emigracji osobom, pod jej opieką pozostającym. Komisja utrzymuje nawet, że niektóre rządy dla zmylenia władz amerykańskich wysyłają niepożądanych dla sie- bie obywateli w drugiej klasie, niby jako za- możnych turystów.

Prawa, wydane w 1882 i 1885 r. wzbraniają wprawdzie dostępu kryminalistom i ludziom, którzy stać się mogą ciężarem dla Ameryki, jak również zabraniają dowozu robotników zakon- traktowanych. W portach odbywa się nawet

kontrola przybyszów, polegająca na tem, że ka- żdy emigrant odpowiedzieć musi na szereg py- tań, zadawanych przez wydelegowanego w tym celu urzędnika. Kontrola ta jednak jest fikcyj- ną. Do New-Yorku przybywa niekiedy po 9,000 osób dziennie. Niepodobna, naturalnie, w ciągu kilku godzin zbadać należycie takiej masy. Zresztą prawo obchodzą jeszcze w inny spo- sób. Przejście granicy kanadyjsko-amerykańskiej nie przedstawia żadnej trudności Europejczy- cy, obawiający się kontroli rządowej w New- Yorku, jadą do Quebecu i ztamąd łodem już przedostają się do Stanów.

O robotnikach zakontraktowanych dowiaduje- my się, że przybywa ich ciągle mnóstwo, szcze- gólniej do kopalń. Są to przeważnie Słowacy i Polacy, oraz Włosi. „Górnicy ci, powiada komi- sja, stoją na nader niskim poziomie rozwoju umysłowego... Nie przybywają oni tutaj, żeby stać się obywatelami amerykańskimi, jedynym ich celem jest przy pomocy ostatecznego sknerstwa i szkodliwej oszczędności zebrać pieniądze i wró- cić do kraju. Mieszkają jak zwierzęta w nędz- nych namiotach, żywność przez nich używana, jest tak niedostateczną, nędzną i niezdrową, że wywołuje obrzydzenie w każdym Amerykaninie... Zwyczajnie ich i przyzwyczajenia są obrzydliwe i niemoralne... pracują za tak nędzne wynagro- dzenie, że wyparli wszystkich dawnych robotni- ków i obecnie w pensylwańskich kopalniach wę- gla nie ma prawie Amerykanów.” Zupełnie tak samo opisuje tych wychodźców Powderly, przy- wódzca „zakonu rycerzów pracy.” Imigrację uważa on stanowczo za nader dla robotników amerykańskich szkodliwą. Tam gdzie Ameryka- nin otrzymywał 2 — 3 dolary dziennie, pracuje obecnie Węgier (Słowak), albo Włoch za 75 centów i pożywienie. Nędzna strawa, składająca się z wie- przowiny solonej, kaszy i wody, nie kosztuje więcej nad 15^o/₁₀₀ centów. Całe wynagrodzenie przybysza wynosi więc zaledwie 90^o/₁₀₀ centów, nie wydaje on jednak tej sumy, ciuła grosz do grosza z myślą powrotu. Fakt ten Amerykanom, nawykłym do komfortu, wydaje się wstrętnym, że zaś jest groźnym dla nich, to nie ulega żad- nej wątpliwości, konkurencja bowiem Europej- czyków dąży ciągle do zmniejszenia stopy wy- nagrodzenia.

Najbardziej niepokoją Amerykanów tłumy emi- grantów, gnieżdżące się w wielkich miastach. W takim New-Yorku np. są całe dzielnice, za- jęte przez ludność napływową: irlandczyków, Włochów i żydów. Są to najniebezpieczniejsze dzielnice w mieście, w nocy policja nawet z trwogą wchodzi do domów, przepelnionych zbiegami z całego świata, pogrążonymi w nędzy i próżniactwie. Ciekawem jest przyjrzeć się ży- ciu żydów emigrantów z Królestwa i Cesarstwa. Głównem ich siedliskiem jest dzielnica, przezwana przez Amerykanów, „świńskim targiem.” (Pig- Market), zajmują oni również Hexter-street i Baxter-street. Urządzili się oni w tej swojej dzielnicy po swojemu. Nieznane i niezrozumiałe dla Amerykanów niechlujstwo, pejsy i rude peruki, oto co rzuca się w oczy każdemu zwiedzającemu te ulice. Na każdym kroku jakiś sklepik z tan- detą, starzyzną, lub zgniłymi owocami. Cała lu- dność zajęta wyłącznie handlem. Co chwila ktoś kupuje i pędzi dalej, żeby odprzedać z zyskiem. Zrzadka zabłądzi w te strony jakiś Włoch, lub Chińczyk, mieszkańcy świńskiego targu rzucają się całymi tłumami na nieszczęśliwego przechod- nia i wciskają mu gwałtem swój towar.

Żydzi nasi uszczęśliwili swym przybyciem A- merykę po zaburzeniach antysemitycznych. Gazety europejskie rozpisywały się obszernie o tych wy- padkach i publiczność amerykańska przyjęła pierwszych przybyszów bardzo życzliwie, dobrze im się też powiodło. Każdy wydobywał osta- tnie kilka dolarów, lub pożyczką w jakiej in- stytucji filantropijnej, zakupywał drobne to- wary i rozpoczynał handel uliczny.

Dopóki żydów było mało, utrzymywali się oni z tego, a nawet dorabiali się do własnych skle- pów. Pomysłowość ta jednak nie trwała długo. Żydów przybywało coraz więcej i, jak się oka- zywało, nie byli oni zdolni do żadnej pracy. Pe- wien filantrop założył dla nich koloniję, gdzie mieli zajmować się ogrodnictwem, przedsięwzię- cie to jednak zakończyło się kompletnem *fiasco*. Z rzemiosł dostępnymi są dla nich do pewnego stopnia krawiectwo tylko i szewstwo, po za tem nie umieją absolutnie nic. Prawdziwe za to zdol-

ności okazują w lichwiarstwie, drobnym handlu ulicznym i w sprzedaży i kupnie rozmaitego rodzaju starzyzny i rupieci. Emigrantom innych narodowości zarzucają amerykańskie zupełne rozleniwienie, pokładanie nadziei li tylko na filantropiję. Żydzi, jakkolwiek ustawicznie zebrzą pomocy, wówczas nawet, gdy nie potrzebują, pędzą jednak życie na pozór czynne i ruchliwe, niestety jednak zupełnie niemal nieprodukcyjne. Ciemnota ich, niechlujstwo i ograniczonosc potrzeb odstraszyły nawet ich współwyznawców amerykańskich, te same zaś cechy wraz z innymi, w rodzaju podpalania zaasekurowanych domów, lub mieszkań, obudziły w Amerykanach wstręt i nienawiść. Ztąd też wypływa, że każdy z nich, który uciułał nieco grosza, marzy o powrocie do dawnego miejsca zamieszkania, jakiegoś Berdyczowa, lub Kowna, gdzie, pomimo wszystkiego, życie nie było dlań tak gorzkim i pełnym upokorzeń, jak w Ameryce.

Również prawie wstrętnymi dla Amerykanów są włosi. Stanowią oni najliczniejszy bodaj kontyngens wśród przybyszów do New Yorku. Niechlujstwo ich dorównywa niemal żydowskiemu, ulubionem ich zajęciem jest także handel starzyzną, zgniłymi owocami i t. d. Chciwość na pieniądze i gotowość do żebrania posiadają również w wysokim stopniu a różnią się od Żydów większą skłonnością do bójek i do morderstw. Przed brudami żydowskimi i włoskimi uciekają nawet murzyni, którzy, jakkolwiek pogardzani przez jankesów za swój sposób życia, przywykli już do pewnego komfortu, o którym ani włoski, ani żyd nie mają nawet wyobrażenia. Dzielnice, zajmowane niegdyś przez murzynów, są obecnie w posiadaniu przybyszów i miejscowość, zwana niegdyś „Małą Afryką” nosi obecnie miano „Małej Italii.”

W ostatnich czasach przekonano się, że wśród włoskich wychodźców istnieją zorganizowane bandy rozbójnicze, praktykujące swoje rzemiosło na wzór znanych stowarzyszeń tego rodzaju we Włoszech. Mówimy tu o wypadkach w Nowym Orleanie, które poruszyły w żywy sposób całą Amerykę. Przed 20 laty jakiś bandyta włoski wydany był przez władze amerykańskie rządowi włoskiemu, który ukarał go śmiercią. Rozwściekleni koledzy poprzysięgli zemstę naczelnikowi policji w Nowym Orleanie, niejakiemu Genessy. Wkrótce potem w tajemniczy sposób zabity został ojciec Genessy'ego, a w kilka lat potem brat jego. Bandyci włoscy w Nowym Orleanie tworzyli dwa wrogie towarzystwa, walczące z sobą zacięcie. W maju r. b. w jednej z takich walk z obu stron padło 6 trupów. Genessy zwrócił uwagę na ten fakt i rozpoczął dochodzenie, które doprowadziło go do bardzo ciekawych odkryć. Włosi zarzucili go listami anonimowymi, zapowiadającymi, że zanim jeszcze zdoła aresztować uczestników band, sam zginie za wydanie owego bandyty z przed 20 lat. Istotnie, niedawno na ulicy urządzono nań zasadzkę i, rzecz można, rozstrzelano z kilku karabinów. Ludność miejscowa jest ogromnie wzburzona, chodzą pogłoski o nowych zamierzonych jakoby przez włoskich morderców, na ulicy zjawiają się proklamacje, wzywające do wywieszania 600—700 włoskich rozbójników, zamieszkałych w mieście.

J. H. Siemieniecki.

Listy z nad Niewiaży.

(Urodzenia nieślubne).

VII.

Pisząc w poprzednich „Listach z nad Niewiaży”, „o ruchu ludności”, usunąłem na stronę kwestyję „urodzeń nielegalnych”, by ją omówić nieco obszerniej; tej materji tedy poświęcam list niniejszy. Zastrzegam się jednak: niektóre strony omawianej kwestyi są bardzo drażliwe a przykre, mimo to należy je odsłaniać, ale poważnie, bo obowiązkiem prasy jest głosić jedną tylko prawdę, dla tego mniemam że i szanowna redakcja *Głosu* zechce wydrukować te kilka słów. A teraz do rzeczy. W ciągu 1885, 1887 i 1888 r. urodzeń nielegalnych było:

u Katolików	5,787	} 5,822 (2,939 chl. 2,883 dz.)
„ Kalwinów	35	
„ Lutrów	297 (162 chl. 135 dz.)	

u Żydów 91 (?)

Tu nadmienię, że w tym okresie nie było ani jednego urodzenia nielegalnego pośród baptystów, karaimów i mahometanów, stanowiących razem bardzo drobny odsetek ogółu ludności. Oto jest tabliczka, wyrażająca w procentach ilość urodzeń nieślubnych na ogólną cyfrę:

u Katolików	4,52	} 4,50
„ Kalwinów	2,77	
„ Lutrów	0,47	
„ Żydów	0,46 (?)	

W całej gubernii wogóle na 100 dzieci rodzi się 4,25 dzieci nielegalnych, cyfra ostatnia mało jest prawdopodobną z powodu bardzo wadliwej registracji ludności żydowskiej. Godnym uwagi jest fakt, że wśród dzieci nieślubnych daleko więcej przychodzi na świat dziewczynki niż pomiędzy ślubnymi, w pierwszym wypadku na 100 dziewczynek rodzi się 100,77 chłopców a w drugim — 108,37. W roku 1885 procent urodzeń pozamałżeńskich wynosił w miastach — 7, a na wsi — 4,31, najwięcej dzieci nieślubnych urodziło się w Wilkomierniu (15,38), najmniej zaś — w Władkach (0,96). Co do zależności ilości urodzeń pozamałżeńskich od pór roku, to niedostateczne dane uniemożliwiają wyprowadzenie jakich bądź wniosków; w każdym razie jednak najwięcej dzieci nieślubnych rodzi się w styczniu, lutym i marcu, bo aż 39,75% a więc maximum zastąpienia przypada na miesiące wiosenne. Również niemożliwym jest określić zależność pomiędzy stosunkiem płci (liczebnym) pewnej grupy etnicznej a ilością urodzeń nieślubnych; można by było sądzić, że im liczebny stosunek obu płci jest mniej normalnym, tym więcej będzie rodziło się dzieci nielegalnych; rzeczywistość atoli obala to przypuszczenie... Nie daje się też udowodnić statystycznie — z powodu braku materjałów — wpływ ludowych zwyczajów i obyczajów, chociaż bez zaprzeczenia on istnieje. Można nawet przypuścić z wielkim prawdopodobieństwem, że wśród ludu dotąd spotykają się ślady archaicznego i pierwotnego pomieszczenia naprzykład niemal zupełna swoboda stosunków miłosnych w czasie obchodu sobotek, obyczaj wspólnego sypiania narzeczonych po t. z. dziewczyc—wieczorze i t. d.

Zresztą lud bardzo pobłażliwie patrzy na pozamałżeńskie stosunki miłosne; to też one są bardzo rozpowszechnione... wśród niezamężnych i niezonatych, bo zamęście lub ożenieniu się kładzie im zwykle kres. Ale nie ulega wątpliwości, iż inne przyczyny społeczno-ekonomiczne oddziałują stokroć silniej, niż tradycyjna obyczajowość, do ich rzędu zaliczyć należy przede wszystkim późne a nader nieliczne zamęście, co przedłuża peryjod krytyczny do 7½ lat, oraz pozbawia sporo dziewcząt miłości legalnej. Oprócz tych głównych istnieją i przyczyny podrzędne. Mimo to procent urodzeń nielegalnych jest nader mały. Przypuszczenie *znacznie* mniejszej płodności par nieślubnych, niż ślubnych nie tłumaczy *dostatecznie* — zdaniem mojem — tej okoliczności. O neomaltuzyjańskich teoriach chłopki i mieszczyki chyba nie wiedzą. Pozostaje zrobić ostatnie przypuszczenie możliwe t. j. częstego praktykowania spędzania płodu. Na poparcie tego przypuszczenia, zrobionego a priori, dowodów bezpośrednich niema, ale pośrednich nie brak.

Zacnę od tego, że kobiety z ludu znają doskonale abortatywne własności jałowcu, ruty, snieci żytniej (secale cornutum), sabiny i t. d., że uciekają się one do nich, świadczy fakt rozpowszechnienia wśród dziewcząt z ludu chorób kobiecych, wywołanych używaniem tych środków. Znachorki, znachorowie, oraz niższy personel lekarski nie zaniedbują tego zyskownego proceduru, uciekając się nawet niekiedy do środków mechanicznych. Odpowiedzialność kryminalna w tych sprawach redukuje się niemal do zera... z powodu ich samej treści; obawa kary jest zatem bardzo słabą. Dodam, że nawet na dzieciobójczyźnie sądy przysięgłych zapatrują się nader łaskawie a pobłażliwie...

Uwzględnienie tych okoliczności znajdujemy w ludowym prawie zwyczajowym, zezwalającym na odszkodowanie strat i kosztów, wywołanych ciążą i porodem, oraz opinii wiejskiej, o wiele pobłażliwszej dziś niż przed laty dla matek-dziewcząt. Tu przytaczam kilka wyroków sądów włosciańskich, zapadłych w tej materji. Sprawy podobnego rodzaju powstają tylko w drodze powództwa cy-

wilnego. Młoda dziewczyna osobiście oskarża swego eks-kochanka, który uwiódł jobietnicą ożenku a potem porzucił razem z dziejem, zabrawszy w dodatku 15 r.; powódka ża zwrótu zabranych pieniędzy i 40 rs. odszkodowania. Rozaliński sąd włosciański (1885, wyro20) nakazał zapłacić 25 rs. odszkodowania, or zwrócić 15 rs. zabranych poprzednio. A o drugi wyrok analogiczny. Narzeczona, mieszkająca jako żona z narzeczonym, urodziła dzieck tymczasem kochanek, który pożyczyl od niej 0 rs., wymówił się od ślubu kościelnego. Puszałcki sąd skazał go na zapłacenie 29 rs. (wyr: 14, 1886). Robotnica, która została matką łaski swego gospodarza, zapożywa go przed atki sądowe; zapozwany na sądzie zaproponow zapłacić za usługę zaległą, oraz dodać jeszcze rs. i 6 purów żyta. Powódka nie zgadza się. Nareszcie krakowskim targiem stanęła ugod na zasadzie której pozwany zapłacił powódce zaległe zasługi i 12 rs. 75 kop. odszkodowia, oraz dał 6 purów żyta. (Wyrok sądu pułackiego 13, 1876 r. Niekiedy sam sąd oznęła wysokość odszkodowania; tak puszałcki d włosciański (1886 r. wyrok 17) nakazał udzionej i oszukanej powódce zapłacić 15 rs., „na chrzciny” i dać 3 pury żyta; „po otrzymaniu go wynagrodzenia — powiedziano w protokółce dziewczka G — na obiecała nie rościć żadnych pretensyj do W.” Ciężarna dziewczyna staje osobiście przed sądem, szukając zabezpieczenia losu dziecka. Wyrok: zapłacić natychmiast powódce 10 rs. „na chrzciny” i tyleż w miesiąc po położu, oraz dać pur jęczmienia „na piwo.” (Wyrok puszałckiego sądu 1876 r. 20). Czasami sąd naznacza wynagrodzenie tylko w zbożu np. 6 purów żyta i 3 pury jęczmienia. W tych sprawach prawo zwyczajowe uznaje niekiedy okoliczności łagodzące; tak niejaka J. panna uskarża się, że K. „przysłużył się jej synem”, jak powiedziano w protokółce. K z tem nie zgadza się i próbuje udowodnić, że powódka, sama napraszała się.” Sąd skazał zapozwanego na zapłacenie powódce 40 r. (Wyrok sądu gulbińskiego 1885, 45). Pogląd prawny, wyrażony w tych wyrokach sądowych, jest ogólnie panującym wśród ludu. Zdaje się, iż ludowe prawo zwyczajowe dopuszcza nie tyle dochodzenie ojcostwa, ile poszukiwania odszkodowania strat, spowodowanych ciążą, położiem i pielęgnowaniem dziecka.

To ostatnie zdanie, bodaj, jest słuszniejszym niż pierwsze, albowiem zgadza się ono doskonale z duchem ludu, który wszelkie stosunki bądź rodzinne, bądź moralne stara się sprowadzić do umowy, złamanie której dałoby się wyrazić w formie odszkodowania materyjalnego; wyroki sądów włosciańskich udowadniają to dostatecznie. Nawet złamanie wiary małżeńskiej niekiedy pociąga za sobą odszkodowanie... podług prawa zwyczajowego. Przytaczam przykład: przed puszałckim sądem włosciańskim mąż oskarża człowieka, z którym żona jego dopuściła się cudzołóstwa, żądając wynagrodzenia „strat i szkód”; jednak zapozwany nie zapłacił ani grosza odszkodowania, albowiem udowodnił, że cudzołóstwa jeszcze przed zamęciem miała dzieci. Opierając się na tej okoliczności, sąd powództwo odrzucił (rok 1867, wyrok 22). Mniemam, że wszelkie komentarze są tu zbyteczne.

(J. W.)

Korespondencyje „Głosu”.

Suwałki.

W poprzednich listach mówiłem o rolnictwie, przemyśle i handlu, dziś mam zamiar przedstawić stan oświaty naszej gubernii, sądząc, że ta kwestyja, niemniej od poprzednich jest zajmująca. Otóż zakładów naukowych w ostatnim roku szkolnym gubernija nasza posiadała 199 na 661,768 mieszkańców t. j. o trzy mniej, niż w roku poprzednim. Różnica ta spowodowana została zwinieciem 3 szkółek ewangelickich dla braku kandydatów na nauczycieli, którzy nie kwapią się o te miejsca, gdyż utrzymanie, przeznaczone dla nich, jest zbyt małe. W r. 1886 zostało zwinieciem prywatne czteroklasowe progimnazjum męzkie, uczęszczane przeważnie przez dzieci włosciań z powiatów litewskich, przyczyną zwiniecia była śmierć prowadzącego ten zakład.

Obecnie mamy następujące zakłady naukowe: 2 gimnazya męskie (jedno w Suwałkach, drugie w Maryjampolu) żeńskie w Suwałkach, seminarjum katolickie w Sejnach, seminarjum nauczycielskie w Wejwerach, 174 szkółek miejskich i wiejskich, cztery szkółki żeńskie, jedenaście ewangelickich i pięć niedzielnych rzemieślniczych. Uczących się ogółem było 13,634 w tej liczbie 10,552 chłopców i 3,082 dziewczyn. Największa liczba uczących się (9,876) należy do stanu włościańskiego, potem idą dzieci kupców, mieszczan i urzędników w liczbie 3,086, obywateli 582, reszta dzieci duchownych 59 i obcokrajowcy 29. Podług narodowości najwięcej uczy się litwinów—5,291; polaków—3,131, żydów 2,196, Niemców—1,816, Rosyjan 1,190 i tatarów 10.

W szkołkach początkowych liczba uczących się wzrasta, lecz za to w gimnazyjach, męzkim i żeńskim, zmniejsza się z każdym rokiem.

W gimnazyjach męzkich największa ilość uczniów przypada na pierwsze 4-ry klasy z powodu, że spora ilość odpada przy egzaminach dla braku zdolności, powtóre, że włościanie najczęściej odbierają synów z gimnazyjum po ukończeniu przez nich 4 klas, aby ich oddać do seminarjum i wykształcić na księdza, co stanowi szczyt marzeń, każdej włościańskiej litewskiej rodziny.

Księża w naszych parafjach pobudzają przezwrotnie z miejscowego ludu; konieczne to jest ze względu na znajomość języka litewskiego, w którym odbywają się tu kazania i spowiedź. Ksiądz, znalazłszy się między swymi, mógłby dużo im pomódz radą, jako więcej rozwinięty i znający dobrze miejscowe warunki; niestety, księża nasi nierozumieją jeszcze swoich obowiązków i, dbając o zbawienie swych owieczek w życiu przyszłym, zapominają bronić ich od wyzysku żydów, pijaństwa i innych wad i nieszczęść w życiu teraźniejszym.

Większy daleko wpływ mają lekarze i prawnicy, pochodzący z włościan. Wielu z nich po ukończeniu uniwersytetu osiada w rodzinnych stronach i tam radą i pomocą służą tym, wśród których się wychowali. A ludzi takich litewskie powiaty potrzebują więcej niż inne. Życie naszej gubernii koncentruje się w Suwałkach. Z tego wynika, że gdy włościanin ma interes do miasta, lekarza lub adwokata — potrzebuje doradcy. Tacy poradnicy wyszukują lud litewski w niemożliwy sposób; zdobywają — najczęściej w karczmie przy kieliszku — zaufanie biednego chłopca i prowadzą go do lekarza lub adwokata — w postaci felczera lub pokątnego doradcy, z którymi dzieli się na pół dochodem, wyłudzonemu od nieznającego interesu chłopca. Takich doradców bandy całe włóczą się po mieście; ma na nich oko policja, ale zaradzić złemu nie jest w stanie.

Tworzą oni, można powiedzieć, pewnego rodzaju organizację. W Suwałkach mieszkają dygnitarze, posiadający po wsiach swych współników; ci ostatni przywożą i przysyłają interesantów do swych zaufanych, a ci dopiero — do protegowanych przez nich osobistości. W tych czasach zdarzył się fakt tego rodzaju dosyć charakterystyczny. Do adwokata Z. przyjechał chłop z listem, pieniędzmi i papierami. Nie wiedząc, gdzie ten mieszka, zaszedł wedle zwyczaju do karczmy na kieliszek w celu zasięgnięcia języka. Tam spotkał usłużnych, którzy zaprowadzili go do kogo innego, przedstawiając go, jako adwokata Z. Chłop oddał list, papiery i pieniądze i wyszedł spokojny, że powierzył swój interes temu, komu chciał; nazajutrz dopiero dowiedział się przypadkiem, że adwokat Z. mieszka gdzie indziej, poszedł do niego, opowiedział rzecz całą i dopiero przez policję zdołał odebrać papiery.

Fakty takie zdarzają się u nas bardzo często. Zaradzić złemu mogłaby policja, ale tylko przy pomocy miejscowej inteligencji, która powinna udaremniać zabiegi podobnych pośredników.

Inteligencja miejscowa nie wdaje się w te rzeczy, ponieważ choruje na dziwną obojętność względem dobra publicznego. Na obojętności tej najwięcej traci nasza straż ogniowa, do której należy sporo osób z inteligencji miejscowej. Członkowie z tej warstwy nie raczą uczęszczać na zebrania i próby straży ochotniczej. To samo prawie można powiedzieć i o orkiestrze a-

matorskiej, która zawiązała się przy straży ogniowej — i urządziła co tydzień wieczory muzyczne. Z początku bardzo trudno było się dobić o miejsce na taki wieczorek muzyczny, potem łatwiej, a w przeszłym roku sala resursy miejskiej podczas owych wieczorków świeciła pustkami. Winni są tu może amatorzy, którzy nie chcieli zachęcić publiczności do swoich wieczorów, ale winna też i publiczność, która nie chciała poprzeć instytucji. Dziś orkiestra upada, o wieczorkach dużo mówią, ale dotychczas nie było ani jednego i nie słyhać, aby się na nie zanościło. Co będziemy robić podczas długich zimowych wieczorów, kiedy zmęczony jednostajnością umysł zapagnie rozrywki, o tem napiszę w jednym z przyszłych listów.

G.

Raciaz.

Był sobie pewien wielki pan, który raz po smacznym obiedzie, zjedzonym w swej wiejskiej rezydencji, kołysząc się w wygodnym fotelu i napawając dymem cygara, zaczął marzyć. I przyszła mu fantazyja, podobnie jak Armatowiczowi z „Pokuty” Rogosza, zdziałać coś takiego, za coby go pochwalono w gazetach. W drodze ku ziszczeniu swych pragnień wpadł na myśl oryginalną: założył księgarnię „ludową” w pobliskim miasteczku, w celu „szerzenia oświaty wśród okolicznej ludności wiejskiej”. I wkrótce potem, czytając w dziennikach panegiriki pod jego pisane adresem, czułwał na całym ciele bardzo rozkoszne drżenia. Zczasem przyszła mu do głowy inna fantazyja, i wtedy, przestawszy myśleć o księgarni, zrobił z niej prezent pewnej bardzo przystojnej panence. Przystojną panienką, związawszy swe losy z przystojnym młodzieńcem, rozpoczęła wespół z nim prowadzić interes. Lecz na nieszczęście panienka była bardzo wysoko skoligacona, albowiem cioteczno-wujeczna siostra stryjecznego brata jej szwagra pochodziła z bocznej linii tej samej rodziny, której jeden przedstawiciel pojął za żonę wdowę po teściu pewnego zięcia, mającego szwagra spowinowaconego przez męża swej cioteczno-wujecznej ciotki z rodziną Firlejów. Mąż zaś rzeczony panienki, a właściwie już pani nie panienki, nie szczylił się wprowadzić tak wysoką koligacją, lecz natomiast wprowadzał do swego organizmu czynniki, upiększające oblicze ludzkie przez zabarwienie nosa na kolor fioletowy. Pojmnie łatwo czytelnik, iż tak poważne osobistości nie mogły bez narażenia swej godności podawać niezwłocznie żądanej książki wchodzącemu do księgarni chłopcu, lecz były zmuszone, dla zachowania należytej sobie powagi, kazać mu na przód poczekać najmniej pół godziny — nie mogły również tłumaczyć chłopcu, chcącemu się targować, iż w księgarni ceny są stałe, lecz były zmuszone w takich razach wymyślać chłopcu od chamów, złodziejów, lajdaków i t. d. Pojmnie również czytelnik, iż wskutek podanego obrotu rzeczy, „szerzenie oświaty wśród warstw ludowych” zrobiło kompletne fiasco. Smutny to fakt zaiste. Nie wiem, czy obecnie istnieje już na prowincyi więcej niż jedna, „księgarnia ludowa”, lecz jeżeli istnieją, faktem jest, iż wiedzą żywot suchotniczy. Gdyby tak zarząd księgarni dostał się do rąk takiego pana, którego ojciec zwał się Mojsie, i był handlarzem zajętych skórek, a mama nosiła imię Ruchla i trudniła się sprzedażą makagig, wówczas „geszeft” wszedłby na inne tory. Taki Moskowicz nietylko że nie poruszyłby strzelby z arsenału epitetów, obrażających chłopca, lecz, przeciwnie, użyłby wszelkich sposobów, by zwabić do księgarni jaknajwiększą ilość interesantów. Nie poprzestając na sprzedaży książek w księgarni, urządziłby on również sprzedaż kolportacyjną: wysłałby chłopaka z książkami na rynek, podczas gdy się targ odbywa, — nawet do szynków, gdzie chłop po skończeniu targu udaje się dla „rozweselenia” — i prowadziłby „szerzenie oświaty” w ten sposób, iż widz postronny czułby się zniewolonym zacytować przysłowie o sytym wilku i całej owcy. Lecz czyżby do tego istotnie był zdolnym tylko Moskowicz? Sądzę, że nie. Trzeba tylko zapomnieć o koligacyi z Firlejami.

W.

Przegląd społeczny.

Z Płońska. (Kor. Głosu). Bieda widocznie i naszej okolicy silnie się dała we znaki, przy ogólnym bowiem dobrobycie namowy agentów chyba nie mogły wzbudzić takiej pochopności do emigracyi, jaka zapanowała w ostatnich czasach pomiędzy ludem. W niedzielę przed kościołem, czy też w dzień targowy na rynku, o jednym tylko mówią: o wyjeździe do „Brazylii.” Ciągłe słyszę się daje o marnowaniu prawie za bezcen kartofli, drobiu, poduszek, pierzyn i wszelkiej ruchomej i nieruchomej własności, przez przyszłych brazylijczyków. Całe rodziny parobków, włościan, gospodarzy, dzierżawców, rzemieślników starają się jaknajprędzej pozbyć swego dobytku, aby pospieszyć do obiecanej krainy; nie powstrzymuje ich ani wiek poduszki, ani choroba żon lub dzieci. „Jak nie będę mógł sprzedać moich morgów, to i tak je zostawię, a sam pójdę do Brazylii” mówi jeden. A czego nam tu czekać? — dodaje drugi — wybierając się do Brazylii. Trzech parobków na rynku rozmawiało znów w ten sposób: „Mamy tu pracować za 15 groszy na dzień, to wolewa tam robić za 15 złotych.” Czy w drodze, czy na wsi, czy też w miasteczku wszędzie się spotykam z brazylijczykami. Księża sąsiednich parafij bywają wprost oblegani przez żądających metryk, a wobec niechęci, z jaką takowe wydają (wedle nakazu ojca świętego, jak mi objaśniła jedna z kobiet) przychodzi dosyć często do nieprzyjemnych zajęć, do skarg nawet na proboszczów. Rozpytują się mnie ci i owi o stosunki brazylijskie, radzą się, czy warto wyjechać? Odradzam, jak umiem; wątpię jednak, czy im trafiąm do przekonania, jest to bowiem jakaś epidemija, której powstrzymać nie może nawet człowiek, mający jakieś poważanie u ludu, nawet zakaz ojca świętego. Opuszczają kraj ludzie biedni, mając nadzieję, że im tam gorzej nie będzie, ale emigrują też i ludzie stosunkowo zamożni. Słyszałem na przykład o jednym gospodarzu, który porzucił trzy włoki własnej ziemi i poszedł, drugi zaś kandydat na brazylijczyka, ma włokę gruntu, 6,000 rs. podobno gotówki i w dodatku chorą żonę. Kto namawia lud do wychodźstwa trudno się dowiedzieć. Charakterystyczną jednak jest ta okoliczność, że w tej ogólnej gorączce nie przyjmują udziału żydzi, przynajmniej dotąd nie słyszałem o żadnym z pomiędzy nich emigrancie; zbyt wiele widocznie mają oni sprytu i... dobrych informacyj. Chłopom, którzy też zwrócili na to uwagę, żydzi tłumaczą, że w Brazylii żydów nie przyjmują. Przypuszczając nawet, że z tych, którzy obecnie wybierają się do Brazylii, wiele swego zamiaru zaniecha, wielu zaś nie będzie mogło go wykonać, ze względu jednak na to, że emigrują zwykle jednostki najenergiczniejsze, znaczną mieć będziemy szcerbę w ludności okolicznej i co do jakości i co do ilości, tymbardziej, że w tym roku straszne spustoszenia w naszych stronach porobiły choroby zaraźliwe, jako to: płońca, odra, ospa i błonica; w niektórych naprzykład rodzinach pomierało po troje a nawet po pięcioro dzieci. — Ze spraw czysto miejskich zanotować muszę, że i w Płońsku zaczęło się formować towarzystwo w celu popierania emigracyi żydów do Palestyny — chodzą one przynajmniej po domach żydowskich i zapytywano się, po ile mogą płacić rocznie na popieranie kolonizacyi. Prąd ten widocznie doznaje przyjęcia, słyszałem bowiem tylko o jednym z kapitalistów płońskich, który płacenia składki odmówił; bardziej opornymi okazują się talmudyści, twierdzą bowiem, że do Palestyny nie ma po co emigrować, gdyż Izrael panowaniem w Palestynie zadowolił się nie może, jego udziałem będzie panowanie nad całym światem. W ostatnich czasach wśród starszej generacyi naszych żydów zapanowało wielkie zadowolenie, a to wskutek nakazu wzmocnienia nauki języka hebrajskiego wśród młodzieży żydowskiej.

Z okolic Żyrardowa. (Kor. „Głosu”) Jeżeli gorączka emigracyjna potrwa dalej w tym stopniu, w jakim obecnie panuje, moglibyśmy doprawdy spodziewać się wyludnienia. Czy w polu, czy w fabryce pracują u wszystkich na ustach Brazylija, Brazylija, Bryzajla i t. d. Emigrują masami, reszta czeka wiosennego słońca, oszczędzając się możliwie, aby z zimowych zarobków w fabrykach zebrać sobie na podróż. Proklamacyja konsula brazylijskiego w języku niemieckim obiega z rąk do rąk, skwapliwie czytana i komentowana. Dziwaczne baśnie, a między innymi, i taka np. że Kronenberg kupił całą guberniję w Brazylii i tam chce osiedlić Polaków, krążą na okolo. Tutejsza okolica fabryczna, gęsto zaludniona, zawsze przedstawia dużo elementu wychodźczego wśród roboczego proletaryjatu, ale co zmusza ludzi względnie zamożnych, często statecznych gospodarzy do sprzedawania ziemi, dobytku, do porzucania żon, dzieci, co ich zmusza wyruszać do kraju nieznanego, na ślepa dolę się zdawać? Jakiś owczy pęd gna tych ludzi, którzy nie czekają żadnych wiadomości od wychodźców, lub też nie wierzą złym wiadomościom, nie rzadko ztamtąd nadchodzącym. W całej tej sprawie, jak zawsze,

427, lekarki 514, filozoficzny 149, wreszcie na „studjum rolnicze”—39.—Donoszą nam, że w miesiącu ubiegłym wyemigrowało do Ameryki przez Oświęcim 256 osób w tej liczbie 222 z Galicyi. Największego kontyngensu wychodźców dostarczył powiat jasielski, bo 80 osób.—Mówią tu o nowem piśmie akademickim, jakie wydawać zamierzają „umiarkowani” akademicy.—Publiczność gorszy się jaskrawą plastyką obyczajów w komedji K. Zalewskiego: „Oj mężczyźni, mężczyźni!” a skutek „oburzenia” jest taki, że teatr zapelniają mamy z podlotkami.—Odczyt p. Korwin-Piotrowskiej: „O przemysle w Królestwie Polskiem i udziale w nim kobiet” nie spotkał się tu z uznaniem dam, które natomiast licznie zbierają się na wykładach ks. Morawskiego: „O istnieniu i doskonałościach Boga”.

Voz.

Lwów. (Kor. „Głosu”). Posłowie sejmowi rozjechali się na trzy dni świąt, celem odpoczynku (!), według jednych, a zoryjentowania w licznych pracach, jak głoszają inni. Zdaniem naszym wakacje się „ojcom kraju” jeszcze nie należą, bo dotąd nie zrobili, a „oryjentować” można się łatwo na miejscu, tym więcej, że czasu niewiele pozostaje do obrad, zaledwie trzy tygodnie. W ubiegłym tygodniu uchwalili sejm polecić wydziałowi krajowemu, aby opracował statuty nowej, specjalnej komisji dla spraw rolniczych; choć komisya budżetowa przedłożyła już swe wnioski, co do zmiany regulaminu służbowego w wydziale krajowym. Zwołany „ad hoc” komitet w sprawie reorganizacji wydziału nie mógł się dotąd uporać z projektami: Madejskiego i Koziembrodzkiego. Posłowie spacerują po korytarzach sejmowych, rozmyślając: „być albo nie być”, tj. konwertować dług indemnizacyjny, czy też nie konwertować, a natomiast zaciągnąć 22 mil. pożyczkę, z którejby 9 mil. zlr. poszło na umorzenie długu, a reszta na pokrywanie corocznych niedoborów. Za konwersyją oświadcza się lewica. Operacyja ta ma dobrą stronę, że rozkłada dług na 67½ lat, choć trudno się zgodzić z tem, żeby przyszłe pokolenia spłacały nasze zobowiązania.—Krażą pogłoski, że St. hr. Badeni, brat namiestnika, zostanie wkrótce mianowany członkiem izby panów, w miejsce Artura Potockiego, a marszałek ks. Sanguszko tajnym radcą z tytułem ekselencyi; jednocześnie mówią, że nie Romer, lecz b. marszałek Tarnowski lub poseł Chamiec, mają zastąpić lukę w wydziale krajowym, jaką utworzyło ustąpienie Pietruskiego.—Dr. Ferdynand Źródłowski, dymisyjowany profesor uniwersytetu lwowskiego, zwrócił czwartą część otrzymanej płacy pensyjnej skarbowi państwa, ponieważ uiszczona mu suma była wyższą od przepisanej ustawą emerytury. Delegowani dublańscy wyjechali na studia do Halli i Wrocławia. W sprawie niczem nieumotywowanego wydalania wniesć ma interpelacyję poseł Szczepanowski.—Helena Modrzejewska rozpoczyna 10 b. m. szereg występów w teatrze hr. Skarbka „Adryjanna Lecoureur”. P. Schmidt, dyrektor teatru, chce teraz poważniejszym repertuarem zrehabilitować swą operetkową specjalność, dla wydotkania subwenyi krajowej.

Lambda.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

W przyszłym miesiącu rozpocznie w Berlinie prace swe sejm pruski i parlament niemiecki. Pierwszy rozpocznie od projektu podatkowego, znanego byłego przywódcy narodowych liberałów, obecnego ministra skarbu, Miquela.

Ten filar mieszczańskiego stronnictwa z giętkością, jakiej już poprzednio dawał dowody, zmienił kierunek swych przekonań i odgadując wolę tego, który go do siebie powołał, wystąpił z projektem, uderzającym całą siłą w łono, a właściwie w kieszeń — niedawnych swych towarzyszy broni.

Projekt polega na zastosowaniu w dość szerokim zakresie zasady podatku postopowego. Rozporządzający znaczną ilością bogactwa narodowego, znacznie też będą musieli na rzecz ogółu ponosić ofiary, z których korzystać będą mogli ci, którzy prócz paru rąk żadnem innem bogactwem nie rozporządzają. Cały wogóle projekt, dziełko mieszkających na pewne kategorie, ma na celu większe, niż dotychczas, w sprawach fiskalnych uwzględnienie zasad sprawiedliwości i obywatelskiej solidarności.

Wobec tego projektu osobiste b. frankfurckiego burmistrza przekonania mocno zagadkowy przybierają wyraz, natomiast jasną jest rzecz, że obecny rząd niemiecki, pod wpływem swego cesarza, coraz śmieiej wkracza w dziedzinę reform społecznych, zaznaczając przytem coraz wyraźniej skłanianie się do zasad socjalizmu państwowego.

Świadczyć o tym kierunku będzie projekt prawo-

dawstwa o ochronie robotników (Arbeiterschutz—Gesetzgebung), którzy niebawem stanie się przedmiotem obrad parlamentu niemieckiego. Trudno przewidzieć, jaki los czeka te projekty, wobec tego, że przeciwnymi są im i klasy posiadające, czyli tak zwana burżuazja i klasa robotnicza, której przedstawiciele w izbach, Liebknecht, Bebel, Auer, Singer i inni głosować będą przeciw wnioskowi rządowemu, ze względu na ich zachowawczy charakter.

Natomiast z wielką pewnością można przypuszczać, że rozpoczynające się z 25 b. m. posiedzenia izb angielskich nie będą widownią tryumfów obecnego gabinetu mrg. Salisburego. Liberali już zawczasu podają do królowej proźbę o rozwiązanie parlamentu, który utracił zupełnie zaufanie narodu i o rozpisanie nowych wyborów, które, jak to ma być niewątpliwem, wypadną na korzyść liberałów. Owe dwa miliony wyborców, które powołał był Gladstone, a które zaczęły swą działalność od poparcia jego politycznych przeciwników, obecnie na tyle wyrobiły się w życiu politycznem, że obwołują się pod sztandarami liberalizmu. Liberali występują do walki w imię dwóch rzeczy: „pragną oni dojść do zasady powszechnego głosowania, (one man, one vote), dalej skrócenia lat trwania parlamentu, a to w celu silniejszej kontroli obywateli nad swymi przedstawicielami. Po nad tem wszystkim jednak pragną załatwienia sporu irlandzkiego, który, jak powiada Gladstone, wykoleja bieg spraw publicznych w Anglii. Jednak nawet Gladstone nie może się zdobyć na przyznanie Irlandyi zupełnej autonomii z własnym parlamentem.

O'Brien i Dillon spędzili cały tydzień w Paryżu, poczem udali się do St. Zjednoczonych. Pomni namów swych paryzkich przyjaciół, nie wystąpili z żadną mową publiczną, tłumacząc się nieznajomością francuzkiego języka.

Jadą do Ameryki, z kąd spodziewają się przywieść do Irlandyi 120,000 funtów szterl. na cele patrijotyczne. Są przygotowani, że za powrotem do ojczyzny czeka ich sześciomiesięczne więzienie z ciężkimi robotami.

W kościołach irlandzkich w tym samym czasie odczytanem zostało pismo Leona XIII, potępiające bojkotowania i gwałty dokonywane przez ligę narodową.

Francya wplątała się w spór z Hiszpanią o kawałek ziemi w okolicy Kongo. Zatoka Corsico ważną jest dla Francyi, umożliwia bowiem komunikacyę między francuzkim Kongo i Sudanem, omijając kameruńskich niemców. Ponieważ Hiszpania uważa się za prawą właścicielkę owego szmata ziemi, więc dyplomaci mają sposobność do wymiany not.

W Lizbonie umysły uspokoily się nieco. Wybryki antydy nastyczne ustały, rozdrażnienie przeciwko Anglii uśmierza się po trosze. Jest nadzieja załagodzenia sporu na drodze polubownej, mianowicie rząd zaproponował Anglii modus vivendi, na mocy którego Portugalija korzystałaby z prawa wolnej żeglugi na Zambeze.

W Peszcie omal że znowu nie przyszło do rozruchów ulicznych, z okazji wyroku, skazującego niejakiego Joannawicza za toast, wzniesiony na cześć Kossutha. Studenti odbyli pochód do klubu niezależnych, domagając się od dep. Horvatha interwencyi u władz. Nie otrzymawszy zadawalniającej odpowiedzi, wszczęli hałas, któremu kres położyło wdanie się policyi.

KRONIKA LITERACKA.

Kalendarz księgarsko-literacki wydany staraniem i nakładem St. Czarnowskiego i G. Centnerszvera, na 1891 rok. Katalog książek polskich, wydanych w ubiegłym roku. Warszawa 1890.

Oprócz kalendarza i katalogu dzieł, wydanych w ciągu roku od lipca 1889 do lipca 1890, znajdujemy tu spis pism peryjodycznych, księgarń, czytelń, drukarń i t. d. tak w Warszawie, jak i na prowincyi. Z przedmowy do działu literackiego dowiadujemy się, że w Warszawie wydano w ciągu roku 1,003 książek i broszur polskich w 2,000,000 blisko egzemplarzy. Dodawszy wydawnictwa prowincjonalne i zagraniczne otrzymujemy ogólną cyfrę około 2,000 druków. Na pociechę dodać możemy, że przed niedawnymi czasami drukowało się rocznie zaledwie do 1,000 dzieł i broszur. Na wstępie do działu księgarskiego p. G. Centnerszwer, potwierdzając fakt zwiększenia się wydawnictw, dodaje jednak, że liczba rozprzedawanych egzemplarzy każdego wydawnictwa wogóle zmniejszyła się. Przybytek ilości druków przypade głównie na elementarze, dzieła ludowe i popularne. Z całej masy roznego wytworu w handlu warszawskim i prowincjonalnym znajduje się zaledwie 608 dzieł, co przy-

piśać należy w znacznej ożości złej organizacyi, a raczej braku organizacyi handlu księgarskiego. Z ogólnej ilości 608 druków na belletrystykę przypada 90, książki religijne 67, medyczne 53, prawne przemysłowe i społeczne 47, historyczne i archeologiczne 46, ludowe 40, pedagogiczne i dzieciinne 36, literackie i artystyczne 32, matematyczne i przyrodnicze 34 na „teatr i poezyje dramatyczną” 23. Na poezyje i wiersze różne 21 i t. d. Czasopism polskich wychodzi wogóle 224, w tej liczbie 11 w Ameryce i 1 w Afryce. Księgarń, składów nut i antykwarni naliczono aż 119, w liczbie tej jednak wymieniono nie tylko ruchliwsze redakcyje, ale nawet nakładców kalendarzy kieszonkowych. W ogólnej liczbie figuruje 25 antykwarni, 16 księgarni hebrajskich, 4 rosyjskie i 1 francuzka.

Najlepszy niemiecki elementarz do prędkiej nauki czytania, pisania i rozmowy po niemiecku. Napisał i wydał Plato v. Reussner. Wydanie II powiększone. Nakł. i własność autora. Warszawa 1890.

Powiatki polsko-niemieckie dla wprawy w czytaniu i opowiadaniu z 48 rycinkami. Napisał Plato v. Reussner. Warszawa 1890. Nakł. i własność autora.

Zaznaczając nowe wydanie tych broszurek, donosimy zarazem, że od d. 1 listopada autor obniżył cenę kursu wyższego swej metody niemieckiej z rs. 2 na 1 rs. 60 k. tak, że obydwa kursy w jednym tomie kosztować będą odtąd tylko 2 rs.

Zarys teoryi matematycznej telefonowania na znaczne odległości przez H. Merczyngę. Odbitka z „Przeglądu technicznego”. Warszawa 1890.

Encyklopedyja humoru. Nakł. M. Wołowskiego. Zeszyt XXXI.

Nastolnyj encyklopedycznyj słowar. Nakł. A. Garbel i S ki. Zeszyt IV (Ambradura-An-drogin).

Moi znajomi. p. Maryję Konopnicką. Warszawa nakładem Gebethnera i Wolffa 1890 r.

Na ostatnią książkę M. Konopnickiej złożyło się kilkanaście obrazków, drukowanych przedtem po piśmach. Wszystkie one mimo całkiem odmiennej treści snują jeden wątek; są to jakby zwrotki wielkiej pieśni, — pieśni o maluczkich i cierpiących. Autorka umie z niezrównaną serdecznością kreślić proste szczegóły tego życia, znanego nam najczęściej tylko ze statystyki, z wykazów szpitali itd. Każdy obrazek jest tu prawdziwie misterną miniaturą, każda sylwetka drga życiem sobie właściwem. Warto zagłębić się w tę falę życia oodziennego, którą Konopnicka zakłęła wartystyczne kształty, już chociażby dla tego, ażeby w myśli odtworzyć prawdziwą wartość i znaczenie „żywych cyfr”.

Marnotrawni. p. Antoninę Myszyńską. Powieść współczesna. Kraków 1890.

Mimo, iż powieści traktujące o „błękitnej krwi”, o bogatych i wielkich panach na łokcie już dałyby się mierzyć—autorka uznała za właściwe skreślić nam jeszcze wizerunek „Marnotravnich”. Za przykładem innych p. M. przeniosła swoich bohaterów na Ukrainę. Powiatka kreśli nam charakterystykę możnego rodu Symeonów i dzieje miłości Lili doktorówny oraz Witolda Symeona. „Marnotrawni” to właśnie jego rodzina, która na marne gospodaruje w dobrach, naturalnie, dziedzicznych. Nic nowego. Sam Witold, Lila skreśleni są dość poprawnie, opowieść czyta się z pewnym zajęciem, a psychologija zdradza trafną obserwacyję.

KRONIKA POWSZECHNA.

— Życie społeczne. W 1884 r. w Kownie było 4,315 wyrobników, w tym 3,288 żydów (76%) i 1,027 chrześcian (24%). Ruskie towarzystwo żeglugi i handlu znacznie zmniejszyło opłatę, pobieraną od żydów emigrantów za przejazd z Odesy do Jafy.—W Równie żydzi sebrali pewną sumę na założenie kolonii w Palestynie.—Alliance israelite universelle liczy obecnie 31,378 członków.—Zarząd tańców kucheny czyni starania o otwarcie czwartej taniej kuchni w okolicach Leszna, Grzybowskiej lub Żelaznej.—Przytulki noclegowe otwarte będą w Warszawie i w r. b.—Na budowę i restauracyję świątyni prawosławnych zamierzono wydatkować w 1891 r. w gub. zachodni 250,000 rs., w Królestwie Polskim 100,000 rs.

— Kronika ekonomiczna. Gazety ruskie donoszą, że ministerjum spraw wewnętrznych pracuje nad projektem przepisów o lombardach.—Stróżę pracodawcy, oraz robo-

tnicy konserwacyi kolei dąbrowskiej zostali przyjęci w poczet uczestników kasy emerytalnej tej kolei.—W handlu z Cesarstwem zapanowała zupełna cisza.—W ciągu miesiąca zażądano z towarzystwa kredytowego m. Warszawy pożyczek na 500,000 rs.—Ministerjum skarbu zażądało od inspektorów fabrycznych opinii co do tego, jakie zakłady rzemieślnicze podciągnąć pod przepisy o pracy dzieci, i czy przepisy te nie wymagają jakich zmian.

— **Szkoły i oświata.** Średnim zakładom naukowym zakomunikowano nowy, szczegółowy program nauk w gimnazyjach męzkich, dotyczący zmian w wykładzie religii, języków: ruskiego i starożytnych, fizyki i rysunków.—W tych dniach wniesione będą do rady państwa nowe programy dla szkół ludowych jedno — i dwu-klasowych. Do programu włączono: dla szkół jednoklasowych religiję, język ruski arytmetykę, kaligrafię, rysunki i śpiew; dla dwuklasowych, oprócz powyższych przedmiotów, geografiję, historyję, geometriję i rysunki techniczne. Liczba godzin tygodniowych w szkole jednoklasowej ma wynosić 27, w dwuklasowej 28.

— **Literatura i sztuka.** Wychodzące w Irkucku pismo *Wostocznoje obozrenije* zostało zawieszona za karę na 4 miesiące.—W Berlinie postawiono pomnik Lessyngowi.—W Berlinie wyszedł przekład *Żyda* Kraszewskiego pt.: *Der Jude*.—W Krakowie pod redakcją Brodesa zaczął wychodzić tygodnik hebrajski p. t. *Ha-Siman* (Czas).—W teatrze Covent-Garden w Londynie występowała z powodzeniem p. Stromfeld-Klamrzyńska.

— **Rozmaitości.** Rząd angielski w kolonijach dla wygody żołnierzy utrzymuje prostytutki, którym wypłaca stałą miesięczną pensję. Obecnie wypada jedna prostytutka na 9 żołnierzy.—Armija zbawienia zbiera corocznie z ofiar do miliona funtów saterlingów. Wydaje ona 32 pisma w różnych językach, rozchodzące się w 650,000 egzemplarzy; główny organ wychodzi w Londynie p. t. *War Cri* (okrzyk bojowy). Nieruchomości armii w Anglii, Kanadzie, Austrii, Szwecyi, Holandyi, Stanach Zjednoczonych, Danii, Francyi, Szwajcaryi, Indyjach i

Afryce południowej, przedstawiają wartość 650,000 funt. szt., ruchomości zaś przeszło 130,000 f. szt.—W Hel-singforsie powstała nowa sekta pod nazwą armii zbawienia.—Według świeżo, ogłoszonych rezultatów ostatniego spisu ludności okazuje się, że Stany Zjednoczone północnej Amoryki liczą 67,000,000 ludności.—Na cmentarzu powązkowskim poświęcono pomnik Królikowskiego.—Od d. 1 maja do d. 1 października odwiedziło Częstochowę 382,230 pielgrzymów.—Według najświeższych danych we Włoszech przeszło 200,000 ludności miejskiej mieszka w piwnicach, 9,000 w wydrążeniach skał i jaskiniach, w 1,700 gminach mieszkańcy jadają chleb tylko w święta w 5,695 gminach nie widują nigdy mięsa, 104 gmin dotkniętych jest malarją, 110,000 osób cierpi na pelagrę.

— **Nekrologija.** Ernest Gay, kupiec, zm. w Warszawie. Przyczynił się on wiele do otwarcia rynków Wschodu dla naszego przemysłu.—Maksymilian Nowicki, profesor zoologii w uniwersytecie krakowskim, zm. w Krakowie.—Kazimierz Kratzer, popularny kompozytor piosenek swojskich, zm. w Warszawie.—Ludwik Wiczorkiewicz, członek komitetu katolickiego towarzystwa dobroczynności w Moskwie, zm. tamże.—Józef Rosenzweig, utalentowany pianista, zm. w Warszawie.—Berlat, dyrektor akademii sztuk pięknych w Antwerpii, słynny malarz, zmarł w Antwerpii.—Ryszard Burton, podróżnik i orientalista, zm. w Tryjeście.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

P. M. B. w Mord. Za pomyłkę przepraszamy, 20 k. wnoszą kosza zaliczki.

P. A. Most. w Mytn. Ma pan u nas 25 kop.

P. F. L. w Bog. NN. „Głosu” wysłaliśmy już dawno, czy pan je otrzymał.

W redakcyi Głosu i we wszystkich księgarniach jest do nabycia

rozgłosna powieść

E. BELLAMY'EGO W ROKU 2000

Jest to jedyny przekład polski, dokonany z oryginału, bez skrótów i przeróbek.

Wydanie III. Cena 60 kop.

Nakładem Głosu

świeżo wyszło z druku dzieło

Herberta Spencera

pod tytułem

INSTYTUCYJE OBRZĘDOWE

tłumaczone z oryginału przez

J. K. Potockiego.

Cena rs. 1 kop. 30.

Dla prenumeratorów „Głosu” rs. 1.

oraz I zeszyt

Instytucyj Politycznych

Herberta Spencera

w tłumaczeniu J. K. Potockiego

Cena 80 kop.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

NOWO-OTWORZONY

MAGAZYN OKRYĆ I FUTER DAMSKICH,

przy ulicy Niecałej Nr. 14,

pierwszy dom od ogrodu,

poleca wielki wybór Okryć na sezon bieżący w eleganckich fasonach, podług najświeższych modeli, przez krawców specjalistów wykończonych. Zamówienia na powyższe okrycia, futra, wierzchy do futer przyjmują, a nabywając towar wprost z fabryki i za gotówkę, jestem w możności sprzedawać po możliwie niskich cenach, z czem się polecam Szanownej Publiczności.

J. SKWARA.

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe nakładem pedagoga Pl. v. Reussnera

NAJLEPSZA METODA

do nauczania się **Bez Nauczyciela** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w 3-ch miesiącach, po angielsku w 24 lekcjach. Cena metody niemieckiej kurs niższy kop. 60 — w sprawie kop. 75—kurs wyższy rs. 1 kop. 60. Komplet, t. j. oba kursa razem, tylko 2 rs. Metoda angielska z wymową, kurs niższy kop. 75. Najlepszy Elementarz Polski z wzorkami pisma, rysunków i rycinami (obrazkami) razem 340 Figur, tudzież ze wskazówkami pedagogicznymi kop. 25, 15, 10 i 5. Na przesyłkę pocztową dopłaca się do każdego rubla po kop. 15. Osoby nadsyłające wprost do autora z Królestwa rs. 3, a z Cesarstwa rs. 6, nie dopłacają nic na posyłkę książek.

Skład główny u autora (P. v. Reussnera) ulica Marszałkowska Nr. 142 w Warszawie. 4—3

Adres: ulica Marszałkowska
Nr 123.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu
opłaconą z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedyja
Encyklopedyja
Encyklopedyja

E. H.

HISTORIJA
HISTORIJA
HISTORIJA

Cena tomu opłaconego z góry 2 rs. Wychodzi mniej więcej w odstępach tygodn.

Wyszedł z druku zeszyt XXI.

WINA KRYMSKIE i KAUKAZKIE
UZNANEJ DOBROCI
począwszy od 30 kop. jako też analizowany jako prawdziwy wyrob wina i przez powagi lekarskie zalecany,



Kuracjynny poleca Skład Win BRACI KEMPNERÓW Długa Nr. 5.
1/1 but. rs. 1,50, 1/2 but. 80 kop.
1/1 but. rs. 2,50, 1/2 but. rs. 1,25.

Ostrzeżenie. Ogłoszony oryginalny „Exsiccator” jest wtenczas prawdziwym, jak posiada przez Rządy wielu Państw Europejskich zatwierdzonej markę fabryczną.

ZATWIERDZONY PRZEZ RZĄD



Osusza wilgoć, zabezpiecza od gnicia i grzybka, zastępuje farby. Broszurki bezpłatnie. — Inz. G. Ritter.

39 Królewska 39
POSZUKUJĘ AGENTÓW

Do nabycia we wszystkich księgarniach
Ozdobnie oprawny
KALENDARZ KIESZONKOWY dla
GOSPODARZY WIEJSKICH na 1891 rok

wydawany nakładem redakcyi „Gospodarza i Przemysłowca”
Chmielna Nr. 9.
Cena 50 kop. 3—3

We wszystkich księgarniach i w redakcyi „Głosu” jest do nabycia książka dla ludu p. t.

O SUCHOTACH CZYLI GRUŻLICY jak się tej choroby wystrzegać napisał
Sewer Ster, lekarz.
Cena 2 1/2 kop. (pięć groszy).

Medal Warszawa 1885. Medal Warszawa 1886. Herb Państwa Austriackiego. Medal Kraków 1887. Dyplom Honorowy Symferopol 1888 i 1000-cie świadectw za skuteczność otrzymano. Ważny dodatek do broszurki II wydanie z ilustracjami bezpłatnie (franco). Uwaga. Wynalazku mego nie należy porównywać z reklamowanymi w ostatnich czasach goudronitami i Carbolineum gdyż takowe niszczą więcej drzewo i mury niżeli konserwują, o czem dowody w broszurkach umieszczono.

Nakładem księgarni G. CENTNERSZERA, Marszałkowska 147, wyszły z druku: **Kalendarz Księgarsko-Literacki** na r. 1891 kop. 20.

Mazanowski Stowunki i wzajemne sądy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego kop. 80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach. 2—1